

Przyjaciółka

TYGODNIK



Muchomor — grzyb barwny, ale trujący! Jest właśnie okres grzybobrania. Zbierajcie tylko te grzyby, które znacie! Pamiętajcie, że wiele trujących grzybów ma — w przeciwieństwie do muchomora — postać bardzo skromną! Więc — ostrożnie z grzybami!



Rów prowadzi do schronu, który jest domem Khue (druga od lewej)



Dzieci — osłonięte płachtami maskującymi — idą do szkół, które działają pomimo bombardowań.



A tak wygląda transport najmłodszych dzieci z przedszkola.



„Taaaka ryba!” Prosto z morza, z trudnego, niebezpiecznego połowu pod bombami...

Kobiety z prowincji QUANG BINH

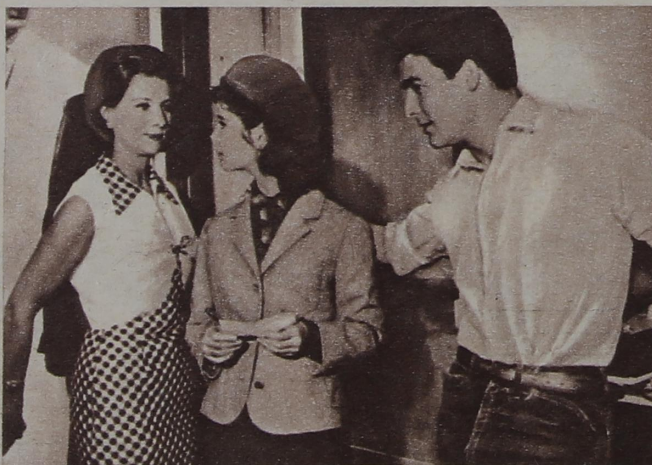


„Matka Suot” — bohaterska przewoźniczka. Obok Monika Warneńska. Po raz pierwszy spotkały się w roku 1965, w początkach wietnamskiej wojny. To zdjęcie wykonała Monika Warneńska w roku 1967.

Na stronie 4 zamieszczamy artykuł znanej pisarki i publicystki, Moniki Warneńskiej, która niedawno powróciła z walczącego Wietnamu, ze swojej trzeciej podróży po tym kraju. Przeczytajcie koniecznie!



CZĘŚĆ I. „ON”. W roli męża — Jacques Charrier, jako żona — Marie-José Nat.



Młoda para mieszka najpierw u matki Jean-Marc'a.

HORTEX

Jest to jedna z najmłodszych i najnowocześniejszych w Polsce zamrażalni. Istnieje dopiero drugi rok, a już zamraża rocznie 7 tysięcy ton owoców i jarzyn. Mrożonki „Hortex” kupują: Anglia, Holandia, Dania, Szwecja, Norwegia, Finlandia, Szwajcaria, Czechosłowacja, NRD, NRF, USA i Kanada.

W końcu bieżącego roku „Hortex” rozpocznie produkcję owocowych koncentratów, a także różnych półfabrykatów garmateryjnych. Na przykład: mrożony i w kostkę krajany seler, sałatki, jarmuż, papryka nadziewana mięsem i ryżem itd.

„Hortex” jest zakładem kobiecym. Pracuje tu absolwentki zasadniczych szkół gastronomicznych i szkół przetwórstwa owocowego, a także dziewczęta, które zdobywają kwalifikacje samym zakładzie. Niektóre w ciągu niecałych dwóch lat zdobyły tytuły brygadzystek i mistrzów.

Zakład szczyci się kilkoma „własnymi” małżeństwami. Utańczył się już nawet obyczaj, jeśli świeżo poślubiona małżonka przepracuje w „Hortexie” rok — nowożeńcy otrzymują darze od rady zakładowej ślubny serwis.

W „Hortexie” dba się o przyszłe kadry. Dziewcząt, wyróżniających się w pracy, a mających szczególnie trudne warunki rodzinne, „Hortex” funduje zakładowe stypendia. Stypendystki zostaną wysłane do technikum przetwórstwa owocowego w Sandomierzu. Spośród gromadki pojedzie do Wąsewa (woj. poznański) do stacji hodowli nasion. Po roku — z tytułem wykwalifikowanych hodowców kwiatów lub nasion owoców — będą mogły nadal pracować w stacji, a jednocześnie uczyć się technikum dla pracujących.

Dyrekcja „Hortexu” przyjęła patronat nad Domem Dziecka w Konstancinie. Jego wychowanki mogą liczyć w przyszłości na pracę w „Hortexie” i pomoc w pierwszych krokach samodzielnego życia.

H. B.

ZYCIE

Francuski film reżysera André Cayatte'a pt. „Życie małżeńskie” jest bardzo ciekawym eksperymentem, który wywołał swego czasu we Francji żywą dyskusję.

André Cayatte jest z zawodu prawnikiem i długie lata był adwokatem, zanim zdradził palestrę filmu. Widzowie zawdzięczają mu całą serię filmów tzw. „sądowych”, w których z wielkim temperamentem atakował wiele spornych problemów wymiaru sprawiedliwości. „Życie małżeńskie” to właściwie nie jeden, lecz dwa „normalne” długometrażowe filmy. Jest to historia młodego małżeństwa, które — po siedmiu latach pożycia — przechodzi się. W pierwszej części filmu (z tytułowanej „On”) oglądamy owo małżeństwo oczyma męża. To on nas prowadzi, pokazuje, jak zaczęła się miłość i co, jego zniwieniem, doprowadziło do klęski. W części drugiej („Ona”) o tych samych zdarzeniach opowiada żona.

Mimo że film trwa przeszło trzy godziny — nie nudzimy się. Przynajmniej, jak sądzę, nie nudzą się kobiety — zawsze i wszędzie bardzo zainteresowane sprawami małżeństwa. I — mimo warunki życia młodego małżeństwa w Francji i u nas dosyć się różnią — to jednak szereg problemów jest na pewno wspólnych.

N Radości i smutki

NIEDOBRA WITÓSKA

Cicho zamknął drzwi od sionki i powiesił płaszcz. Doszedł go głos matki i jakiś drugi, obcy.

— „Porządna dziewczyna nie łapie tak męża. On przesiaduje u niej całe dnie. W domu jest teraz gościem.

Szybko wszedł do kuchni. Na jego widok kobiety umilkły. Sąsiadka prędko pożegnała się i wyszła.

— Mamo, chcę z mamą pomówić — zaczął. — Ja wiem, że mama... No, zresztą co tu dużo gadać, żenie się z Krystyną.

Łucja spodziewała się tego, a mimo to znów zaczęła wzbierać w niej złość.

— Czyś ty zwiariował! Chcesz taką dziewczynę sprowadzić do domu?

— Co to znaczy „taką”? Przecież to porządna dziewczyna — głos Zdzisława drżał ze wzburzenia. — Czemu mama teraz krzyczy? Jak zmienialem dziewczyny jedną po drugiej, to mama nie krzyczała.

— Idź sobie z nią gdzie pieprz rośnie. I tak jeszcze wrócisz do matki. Bo gdzie ci tak dobrze będzie!

Łucja rozplakała się. Zdzisław wiedział od dawna, że matce przede wszystkim chodzi o jej pozycję w domu. Dlatego krzywo patrzyła na każdą dziewczynę, wobec której miał poważne zamiary. Teraz była tu jedyną gospodynią, a gdyby w domu była druga kobieta... Pola nie mieli, tylko ten mały ogródek przy domu. Zdzisław dojeżdżał do pracy do fabryki. Jako elektromonter zarabiał dobrze. Niemal wszystkie zarobione pieniądze oddawał matce. Bała się, że straci władzę nad nim, nad domem.

To właśnie było powodem, że dotychczas przytykała oczy na jego wybryki. Ile razy Zdzisław w nocy wracał „pod muchą”, stawiała przed nim, jak gdyby nigdy nic, garnek z kwaśnym mlekiem. Nigdy nie robiła mu wymówek. Co miesiąc, gdy oddawał jej swój zarobek, mówiła, żeby zostawił sobie trochę pieniędzy na własne wydatki.

— Jesteś dorosły, musisz też mieć parę złotych dla siebie.

Rodzice wydali Łucję za mąż, kiedy miała 19 lat, za człowieka grubo od niej starszego. Niedługo po przyjeździe na świat syna, męża jej przyniotło drzewo w lesie. Łucja sama męczyła się z dzieckiem przez tyle lat. Zarabiała w sezonie u bogatszych rolników. Nieraz bieda zajrzała do jej domu. Powtórnie za mąż nie wyszła. Bała się ojczyzną dla swego syna. Zdzisława kochała miłością zaborczą, jak swoją wyłączną własność. I teraz broniła tej własności do upadłego.

Krystyna przyjechała do tej wioski po skończeniu szkoły dla wychowawczyń przedszkoli. Wyjść za mąż chciała tylko za człowieka, którego dobrze pozna i szczerze pokocha. Nie uznawała małżeństwa z rozsądku, dla pieniędzy, dla innych korzyści.

Zaloty Zdzisława przyjmowała z początku jako niepoważny flirt.

— Chcesz abym powiększyła liczbę twoich sercowych zdobyczy — żartowała.

Chłopak przyłgał do niej jednak szczerze. Obserwowała zachodzące w nim z dnia na dzień zmiany. Odsunął się od kolegów, wódki, dziewcząt. Po pracy zjadał obiad i natychmiast przyjeżdżał do niej na motorze. Pewnego dnia uświadomiła sobie, że kocha Zdzisława.

Spodziewała się teraz właśnie jego przyjeźdza. Pośpiesznie gotowała na kuchence herbatę. Nagle

ktos zapukał do drzwi. W progu stała matka Zdzisława. Krystyna poprosiła ją do środka. Wiedziała, że ta kobieta nie jest jej życzliwa. Nie chciała nawet usiąść.

— Powiem krótko: mój syn z panią się nie ożeni. Nie dopuszczę do tego. Nie pozwolę, żeby mu pani zmarnowała młodość. Pani nie jest dla niego, ani on dla pani. Niech pani to sobie zapamięta.

Krystyna oniemiała. W głowie miała huczący młyn. Nic nie odpowiedziała. Twarz ukryła w dłoniach. Usłyszała trzaśnięcie drzwi.

Od miesiąca w domu Łucji panowała cisza. — Zdzisław wyprowadził się bez jednego słowa.

Nawet nie zawiadomił matki o swoim ślubie. Dowiedziała się o tym fackie od obcych ludzi. Mieszkał teraz „z tą kobietą” w jej małym służbowym pokoiku.



Rys. W. Dybczyński

PO WIZYCIE

O znaczeniu wizyty prezydenta de Gaulle'a w Polsce świadczy dobitnie, że choć upłynęło już sporo czasu — nadal jest ona szeroko komentowana na całym świecie. Podkreśla się zwłaszcza konsekwentne, kilkakrotnie w Polsce powtórzone sformułowanie prezydenta o trwałości obecnych granic Polski, zwłaszcza jego wypowiedź na forum Sejmu PRL:

„Widzę, że Polska ma zwarte terytorium bez obcych elementów etnicznych, z bardzo słusznymi i wyraźnie wytyczonymi granicami, na które zresztą Francja zawsze od 1944 roku całkowicie się zgadzała...”

Szeroko cytowane i omawiane jest również sejmowe przemówienie Władysława Gomułki, przy czym szczególny nacisk kładzie się na fragment dotyczący sprawy niemieckiej:

„Tylko taka koncepcja rozwiązania problemu Niemiec służyć może pokojowi, u której podstaw znajdzie się akceptacja istnienia dwóch równoprawnych państw niemieckich. Polska posiada od lat ugruntowane stosunki przyjaźni i sojuszu ze swym zachodnim sąsiadem, z Niemiecką Republiką Demokratyczną. Gotowi jesteśmy ułożyć normalne stosunki również z drugim państwem niemieckim — z Niemiecką Republiką Federalną. Jeśli jej polityka państwowa wyjdzie z nowych, realistycznych założeń...”

*

Deklaracja polsko - francuska między innymi:

„Podkreśla wspólną troskę obu stron o zapewnienie trwałego pokoju w Europie. Problem

W NAS I NA ŚWIECIE

ten może być rozwiązany przy poszanowaniu zasad suwerenności narodowej, integralności terytorialnej, nieuzycia siły we wzajemnych stosunkach i nieingerencji w wewnętrzne sprawy któregośkolwiek państwa. W związku z tym omówiono możliwość zwołania konferencji europejskiej w sprawie bezpieczeństwa.

● Potępia wojnę wietnamską, która stanowi główną przeszkodę dla odprężenia międzynarodowego.

● Mówi o zbliżonych na ogół stanowiskach w sprawie sytuacji na Bliskim Wschodzie oraz podkreśla rolę Organizacji Narodów Zjednoczonych, jaka spełnić ona może w dziedzinie utrwalenia pokoju i międzynarodowego bezpieczeństwa.

● Stwierdza się znaczne rozszerzenie wszechstronnych stosunków polsko-francuskich i postanawia w dalszym ciągu rozwijać współpracę gospodarczą i przemysłową, naukową i techniczną, kulturalną i oświatową.

● W celu wzmocnienia kontaktów między obu krajami i dalszego zacieśnienia współpracy politycznej, obie strony postanowiły dokonywać regularnych konsultacji.

● General de Gaulle zaprosił Władysława Gomułkę, Edwarda Ochabę i Józefa Cyrankiewicza do złożenia oficjalnej wizyty we Francji.

*

„Nowe ogniwo w łańcuchu dialogów w dziedzinie polityki zagranicznej między państwami europejskimi”; „Owoce rozmowy”; „Konsekwentne popieranie nienaruszalności granicy na Odrze i Nysie — dowodem realizmu i pokojowego charakteru polityki zagranicznej Francji”; „Serdeczny dialog”; „Cel wizyty: odnowienie i ożywienie podstawowej przyjaźni między Polską a Francją, został osiągnięty” — tak ocenia świat rezultaty wizyty. Świat — ale nie NRF.

Wypowiedzi prezydenta de Gaulle'a w Polsce, a zwłaszcza w Zabrzu i Gdańsku, wywołały w państwie bońskim prawdziwą burzę. Bonn z wściekłością odrzuca oświadczenie prezydenta Francji w sprawie linii Odra — Nysa i dalej podtrzymuje swoje rewizjonistyczne stanowisko. Nieliczni tylko, jak na przykład hamburski tygodnik „Die Zeit”, stwierdzają, że rząd NRF powinien wyzbyć się iluzji, przemówić i przestawić swoją politykę.

BLISKI WSCHÓD W ONZ

Agresor izraelski w dalszym ciągu dokonuje zbrojnych prowokacji w rejonie Kanatu Sukiego i z butą twierdząc, że aneksja arabskiej części Jerozolimy jest faktem „nieodwołalnym” — wprowadza w tych częściach miasta swoje prawa i zarządzenia...

(Ciąg dalszy na str. 10)



KOBIETY

z prowincji

Quang Binh

Monika Wameńska

Ziemia jest płaska i odsłonięta. Tu i ówdzie stroszą się niskie kopy zarośli. Samoloty amerykańskie od wczesnych godzin rannych drażą niebo natrętnym mruczeniem. Idziemy pieszo najpierw drogą, która wygląda jak czerwona smuga biegnąca wśród zielonych ryżowisk. Potem schodzimy na boczne bagniste ścieżki. Brniemy przez szlamiste, zamulone strumienie. Z dala srebrzystą wstążką prześwieca rzeka Nhat Le. Zbliżamy się ku niej kamienistymi groblami, które przecinają pola ryżowe. Minęliśmy bokiem miasto Dong Hoi, a raczej ruiny, jakie z niego pozostały. Serce mi się ścisnęło, gdy przypominam sobie to miasto — stolicę północno-wietnamskiej prowincji* Quang Binh. Widziałam je dwukrotnie podczas moich podróży po tym kraju: wiosną 1962 roku, w czasach pokoju, i w r. 1965, w początkach wietnamskiej wojny. Przez dwa i pół roku, od lutego 1965 poczynając, bomby amerykańskie zamieniały to spore miasto w gruz.

Ryż na polach pięknie dojrzewa. Niedługo będą żniwa. A jeżeli bomby, co dzień padające z samolotów na tutejszą ziemię, zniszczą tamy chroniące pola przed nadmiarem wód? Jeśli zdruzgocą sieć kanałów, doprowadzających wodę na pola?

— Chronimy tamy i urządzenia nawadniające — odpowiadają ludzie, spotkani po drodze. — Chronimy je, strzeżemy ich, naprawiamy szkody — i uprawiamy ryż, potrzebny do życia.

Głęboka odnoga rzeki Nhat Le. Trzeba się przepłynąć na drugi brzeg. Czekają sampany, czyli łódź rybacka. Przy nim samotna sylwetka kobiety wspartej o drąg, zastępujący wiosło. Jest to niemłoda kobieta o chłopskiej twarzy, ogorzała od słońca i wiatru, pobrużdżonej gestem zmarszczkami.

— Czy poznajecie mnie, matko Suot? — pytam, wyciągając dłoń na powitanie. — Byłam w Dong Hoi przed dwoma laty, na początku wojny. Rozmawialiśmy jeszcze w mieście...

Chwilka zastanowienia. Błysk uśmiechu i potakujące skinienie głowy. Matka Suot pamięta to spotkanie, tylko nie pamięta mojego europejskiego imienia. Wie natomiast doskonale, że Wietnamczycy nazywają mnie po swojemu: Chi Ba z kraju Balan. „Trzecia Siostra” z Polski.

— Inaczej wtedy wyglądałaś — powiada, przyglądając mi się z bliska. Istotnie, wtedy miałam na sobie sportowy strój europejski. Teraz, dla ułatwienia podróży w warunkach wojennych, mam na sobie szare spodnie i bluzę, uszyte na wzór wietnamski.

Gdy rozmawiałam z matką Suot w początkach wojny, miasto Dong Hoi jeszcze istniało. Ale przewoźniczka miała już za sobą piękny akt bohaterstwa i odwagi. Transportowała ludzi z oddziałów samoobrony, oraz skrzynie z amunicją dla artylerii przeciwlotniczej. Transport na łodzi, pod bezpośrednim zagrożeniem, pod bombami i rakietami, w czasie pierwszych nalotów... Jeden z wietnamskich filmów dokumentalnych, znany również w Europie, oraz

liczne fotografie spopularyzowały matkę Suot i jej bohaterstwo.

Matka Suot w grudniu ubiegłego roku była obecna na Kongresie Bohaterów w Hanoi. Ułożono o niej poematy i pieśni. Ale wietnamscy bohaterowie nie doznają zawrotu głowy od sukcesów. Pozostają prości, skromni, zwyczajni. I taka jest matka Suot, z łagodnym uśmiechem na pooranej wczesnymi zmarszczkami twarzy. Matka Suot, która rytmicznym ruchem wiosel prowadzi łódź, wiozącą mnie i moich towarzyszy na drugi brzeg rzeki Nhat Le. Odpędzam stonogi, lażące po wilgotnych deskach sampana. Robię zdjęcie. Oczywiście chcę od razu wiedzieć, co działo się z przewoźniczką przez ubiegłe dwa lata.

— Tak jak dawniej przewozić ludzi z jednego brzegu rzeki na drugi — brzmi odpowiedź. — Obracam wielokrotnie w ciągu dnia. Transportuję w razie potrzeby milicjantów, członków samoobrony, amunicję, sprzęt i broń. Pytasz o jakiś trudny i pamiętny moment w mojej pracy przez te dwa lata? — zastanawia się przez chwilę. — Cóż, robię to samo, co robiłam 8 i 9 lutego 1965 roku, podczas pierwszych ataków lotniczych. Pamiętam jeden z nalotów zeszłorocznych, kiedy śpieszyłam moją łodzią do statków zakotwiczonych u brzegu. Samoloty bombardowały wściekle. Statki broń się energicznym ostrzałem przed napastnikami. Co wtedy wiozłam? Wyobraź sobie, że nie amunicję. Nasi mieli jej pod dostatkiem. Wiozłam gorący posiłek dla walczących. Naloty powtarzały się bowiem przez wiele godzin bez przerwy. Nie było jak ugotować ryżu. A przecież trzeba jeść, żeby mieć siłę do walki.

Pociski rozbryzgiwały wodę tuż obok łodzi, którą prowadziła energicznymi pchnięciami wiosła matka Suot. Myślę — nie po raz pierwszy zresztą — że względnie łatwo jest dokazać bohaterskiego czynu raz. Trudniej natomiast jest spełniać bohaterskie czynu codziennie. A w walczącym Wietnamie dzieje się to drugie. Bohaterstwo przewoźniczki Suot — to nie tylko jednorazowy wyczyn śmiałości, odwagi, niemłodej kobiety. To codziennosc. To zwykle, wietnamskie życie.

Wspinamy się po ścieżce, wyłożonej w piasku. Ścieżka prowadzi nas do ziemianki. Mimo że grunt dokoła piaszczysty, ziemianka jest mocna i solidna. Dach wsparty na dobrze umocnionych dźwigach. Pod nogami gruba warstwa białego piasku. Czekają na mnie rybacy z okolicznych wiosek, które niebawem odwiedzimy — z Bao Ninh i My Canh. Kobieta w sile wieku, o zmęczonych twarzy, podaje mi z nieśmiałym uśmiechem duży kielich białego lotosu zerwany na wodzie. To Nguyen Thi Khue. Znam już jej nazwisko. O jedno pokolenie młodsza od matki Suot, kierowniczka kobiecej brygady rybackiej.

Rybaczka Khue prowadzi nas do swojej wioski i do swojego domu. Jej chata, gdzie żyła z mężem i gromadką dzieci, od dawna leży w gruzach. Domem jest schron podziemny. Widzę, jak jedna grupa łodzi

wypływa na połów. Druga tymczasem wraca z połowu.

— Wypływamy stale — mówi Khue. — Wypływamy stale, mimo że Amerykanie rażą nasze łodzie ogniem rakiet i bomb. Nie możemy zapuszczać się zbyt głęboko w morze. Stale bowiem czyha na nas niebezpieczeństwo ze strony okrętów wojennych VII Floty USA. Mimo to płyniemy na połów. Zawsze gromadnie, brygadami. Część z nas zajmuje się tylko połowem. Część brygady, specjalnie do tego wybrana i przeszkolona, spełnia rolę samoobrony.

Zainteresowały mnie liny, zwisające z burt łodzi, przygotowanych do wypłynięcia w morze. Lin jest sporo.

— To dla nas ratunek w czasie nalotów — objaśnia Khue. Widząc moje zdziwienie, dorzuca: — Gdy nas atakują „may bay my” (samoloty USA) w czasie połowu, samoobrona, którą posiada każda rybacka brygada, broni się ogniem karabinów zwykłych i maszynowych. Reszta brygady, której przeszło trzy czwarte stanowią kobiety, nurkują w głąb morza przy pomocy lin obciążonych kamieniami.

Nurkowanie — wspięcie się do góry po linie, dla zacierpnięcia powietrza i błyskawicznego rozejrzenia się w sytuacji — potem znowu skok w głąb. W wodę, która ochrania...

Rzeczy niewiarygodne, lecz prawdziwe. W tych warunkach rybacy wojennego Wietnamu dokonują połowów. Ryby, kraby, morskie produkty stanowią — po ryżu, spełniającym w krajach Azji tę rolę, jaką u nas odgrywa chleb — najważniejszą część składową pożywienia. Są potrzebne tym, co pracują i tym, co walczą. Notuję te szczegóły w schronie, który stanowi dom mieszkalny Khue. Obok niej skupia się gromadka dzieci. Jest ich sześćoro. Najstarsza dziewczynka ma lat trzynaście. Najmłodszy syn, niemowlę, ma 8 miesięcy. To pogrobowiec, urodzony po śmierci ojca. Mąż Khue, rybak tak jak ona, w zeszłym roku nie wrócił z któregoś połowu. Przywieziono jego ciało na jednej z łodzi, uszkodzonej rakietami i bombami. Odlamek bomby poraził śmiertelnym ciosem męża Khue, ojca jej pięciorga dzieci i tego szóstego, wówczas jeszcze nienarodzonego.

Khue opowiada mi o pracy brygady rybackiej. Mówi rzeczowo, spokojnie, karmiąc dziecko, które powoli usypia u piersi matki:

— Wypływamy i będziemy wypływać na morze. Więcej ryb jest w naszym morzu niż pocisków, bomb i rakiet, które przeciwko nam kieruje wróg.

Najważniejsze — powiada rzeczowo Kim Hue — jest możliwe szybkie i dokładne rozpoznanie, ile spośród bomb zrzuconych przez nieprzyjaciela, nie wybuchło. Innymi słowy: ile zrzucono bomb z opóźnionym zapłonem. Im dokładniejszą mamy w tym orientację, tym łatwiej je wykryć i unieszkodliwić, czyli rozbroić.

Patrzę na Kim Hue — i przypominam sobie wszystko, co wiem o tej młodzieńczej, dziewczęcej wyglądającej kobiecie. Kim Hue ma lat 23; nie dałabym jej na oko więcej niż siedemnaście. Wyszła za mąż przed wojną. Mąż jej jest w armii. Kim Hue od dwóch prawie lat pracuje w jednej z brygad szturmowych. Są to uformowane od początku eskalacji młodzieżowe ochotni-

eze hufce pracy. Działają one na najtrudniejszych, najbardziej niebezpiecznych, najzjadliwiej przez Amerykanów atakowanych odcinkach: budują mosty i nowe drogi — na miejscach rozbijanych bombami. Naprawiają trasy komunikacyjne i szlaki kolejowe.

Kim Hue, podobnie jak dziewczęta w jednej z brygad, gdzie kieruje ona kompanią młodzi, przeszła szkolenie saperskie. Opanowała ona trudną sztukę rozminowywania dróg i unieszkodliwiania bomb i opóźnionym działaniem.

— Bywały wypadki, że niejedną bombę odczytaliśmy w miejscu, gdzie jej wybuch nie przyczynił już szkody dla budowanej przez nas drogi. Zdarza się, że znajdujemy bombę, która grozi wybuchem za kilka minut — i jest jeszcze czas, aby ją unieszkodliwić.

Brygady szturmowe nie mają odpoczynku ani urlopu. Zdarza się nieraz, że kosztem wielkiego wysiłku i wyczerpanej pracy naprawili odcinek drogi zniszczonej bombami.

Zaledwie przejechały tym odcinkiem ciężarówką z transportem na pierwszą linię walk — już nadlatują wrogie maszyny. Już niszczą robotę niedawno zakończoną. I te roboty trzeba podjąć znowu. Nawet wtedy, gdy przed chwilą śmierć wyrwała na zawsze kogoś z młodych spośród brygady. Bomby nie wybierają. Niejednego młodego człowieka poległ w brygadach szturmowych śmiercią równą śmierci żołnierza. Kim Hue opowiada mi o wypadku zasypania gromadki dziewcząt, pracujących w jej brygadzie. Odkopano je spod lawiny ziemi, wyrwanej bombami. Nie widać było początkowo nic na drodze, zasypanej ziemią. Potem dostrzeżono kosmyk warkocza, gdzie indziej brzęk bluzy... Po tych śladach dokopano się na właściwe miejsce. Część dziewcząt ocalało. Nie wszystkie. Kilka bowiem uległo uduszeniu.

Patrzę na Kim Hue — i pytam samą siebie: co robią teraz europejskie dziewczęta w jej wieku? Jej rówieśnice, należące do sześciolitego pokolenia, które nie wie, co to znaczy wojna. Studiują, pracują, korzystają z rozrywek. Interesują się modami, telewizją, piosenką i książką. Dla dziewcząt takich jak Kim Hue, nie istnieje nic z tych rzeczy. Ubiór ich — to mundur podobny do wojskowego lub brunatna, chłopska bluzka. Ich pieśni, piękne i pełne niezwykłego uroku — mówią o patriotyzmie, o miłości ojczyzny, która jest najważniejszym dobrem każdego Wietnamczyka. Walka i praca. Praca i obrona — to dwa hasła, którym podporządkowane jest bez reszty ich życie.

Matka Suot — przewoźniczka. Rybaczka — Nguyen Thi Khue. Dziewczyna z brygad szturmowych — Kim Hue. Trzy kobiety z bohaterskiej, walczącej prowincji Quang Binh w pobliżu 17 równoleżnika. Przedstawicielki trzech pokoleń. Trzy spośród pięciu mieszkanki tej prowincji, którym przyznano tytuły Bohaterek DRW. Ich bohaterstwo i odwaga znalazły echa w poezji i w pieśni. A one, tak jak dawniej, skromne i proste, biorą udział w walce wyzwolenia narodu. Zwycięstwo narodu będzie również ich zwycięstwem. Walczą w imię przyszłości własnej — i przyszłości swoich dzieci.

* prowincja — odpowiednik naszego województwa.

zwyczajne SPRAWY

Naprawdę — to Jolanta nie jest Jolantą, Iwona nie ma na imię Iwona, Daniela nikt nie nazywa Danią. Naprawdę wszystkie one mają zwyczajne, polskie imiona, takie jak przed czterdziestu laty nadawano w naszych rodzinach, póki nie nadeszła moda różnych zagranicznych cudaków.

Ale nazwałam je tak inaczej i nie stosownie do ich skromnych osób, do ich usposobień i charakterów, bo każda z osobna prosiła o dyskrekcję. Żeby żadna z sąsiadek nie poznała i nie plotkowała: „patrzcie, aż w gazetce pisano o niej”...

„JOLANCIE” powiedział przewodniczący rady zakładowej, że to „aktyw”. I uśmiechnął się. Chyba dlatego, że słowo „aktyw” jakoś nie pasuje do tej cichej, małomównej kobietki. Przewodniczący szedł właśnie na naradę do dyrekcji i zostawił mnie z „aktywem”. Nie kleiła się nam ta rozmowa. Jolanta nie umiała opowiadać o sobie. Po prostu: jeśli trzeba pomóc ludziom — pomaga. Skarżyły się kobiety na buty robocze, że ogromne, niewygodne, ziębiące, pracować w tym trudno. Powiedziała sekretarzowi rady zakładowej. Rada rozmawiała z bhp-owcem, później z kierownikiem zaopatrzenia i zakład znalazł dla pracownic inne, zupełnie zgrabne, wygodne buciki.

O Helci dowiedziałam się od przewodniczącego dopiero w drodze do autobusu. — Z tą Helcią borykali się w radzie zakładowej prawie przez cały rok. Wszystko przez Jolantę. Bo się uparła, by te Helcie wyprowadzić na ludzi.

Ojciec dziewczyny — pijak. Matka zahukana, bezradna z gromadką dzieci. I ta najstarsza Helcia, która nie ukończyła nawet siódmej klasy, lecz w drodze wyjątku, na prośbę urzędu zatrudnienia, fabryka ją przysparzyła. Cóż, kiedy Helci wcale nie zależało na tym, aby być „człowiekiem”. W pracy obijała się, żaden majster nie miał już do niej cierpliwości. Do wieczorówki chodziła, albo i nie, zależnie od fantazji i ochoty. Kierownikowi kadr i przewodniczącemu rady wkrótce zdruzili się pedagogiczne rozmówki z Helcią. Wypowiedzenie cofnięto tylko na wniosek Jolanty. Zobowiązała się sama „dopilnować”.

Jak tam ona dogadywała się z tą Helcią, to już jej sprawa. Fakt, że dziewczyna częściej chyba przesiadywała w domu „aktywu” niż w swoim własnym. Te siódma klasę ukończyła wreszcie już ze dwa lata temu. W pracy — nie przodownia, no nie, ale skargi na nią ucichły.

FABRYKA „IWONY” jest nowa, robotnice pracują tu od kilku zaledwie lat. Na początku stosunki w zakładzie nie układały się dobrze. Nie między dyrekcją a pracownikami, bo dyrektor i wszyscy z biura byli grzeczni, dbali o to, co się załóżce należy. Lecz nie bardzo wiadomo z jakich

przyczyn, a właściwie zdawałoby się bez powodu, coraz to wybuchały jakieś kłótnie między samymi kobietami. Miejscowe, z miasta, nie zgadzały się z tymi, które dojeżdżały ze wsi.

Iwona też przyszła ze wsi. Kocha wieś. Gdyby była niezbędna w gospodarce — zostałaaby. Ale przecież tu właśnie, w fabryce czekali na nią. Tu ją zapraszali. ... I tu — o byle co „miejscowe” wymyślały im od „wiejskich chamów”. Wstyd nawet powiedzieć komuś. Jakże skarżyć?

Można było tylko tłumaczyć, że każdej z nich, i tej „miejscowej”, i tej „wiejskiej” ojczyzna dała jednakowe prawo do pracy. I można było jeszcze opowiadać, jeśli się umie, o urokach lasu, łąki, pól. Chyba przez te opowieści, zazdrościła z miasta polubiła Iwonę. A już przełamały się lody na dobre, kiedy jedna z „miejscowych” leżała po operacji w szpitalu. Najwięcej czasu na odwiedzinach znajdowała właśnie Iwona. Najbliższej szpitala mieszka, najwięcej jakoś było okazji.

Nie wiadomo właściwie od kiedy, lecz dziś już nikt nie narzeka w dyrekcji na kłótnie kobiet z tamtego oddziału. Nawet wyjątkowo zgodnie kobiety załoga wybrała Iwonę do komisji kulturalno-oświatowej. Iwona wcale nie jest pewna, czy potrafi tam się przydać. Chociaż w radzie zakładowej już pochwalili ją za projekt, żeby podczas przerwy śniadaniowej czytać przez radiowęzeł fragmenty różnych ciekawych książek. Bo wprawdzie w zakładzie jest biblioteka, ale korzysta z niej przeważnie młodzież, no i urzędnicy.

KOLEZANKI „DANIELI” denerwował ten „stary”. Do uzyskania renty brakowało mu jeszcze dobrych kilku lat, ale właściwie już teraz dobrze by było, gdyby wymówili mu pracę. Może w innym przedsiębiorstwie jest mniej roboty, ale tu — w dziale — odrabiają za niego papierki. Taki niezdarny, czy co?

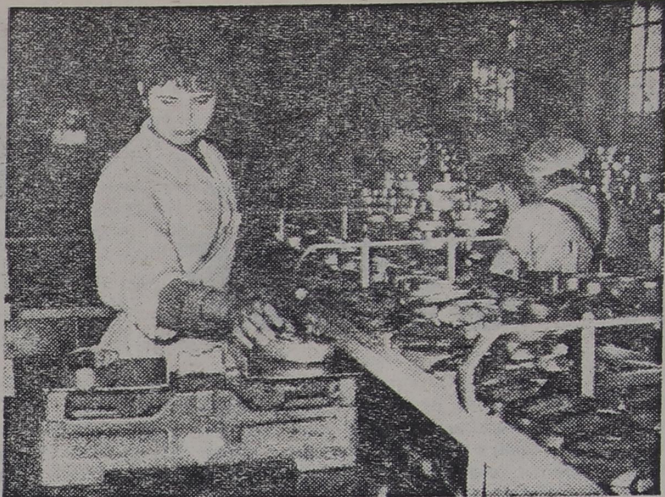
„Starego” przyjmowano do pracy jeszcze przed reorganizacją, zanim fabrykę podzielono na filie. Ludzie przemierzali się, nie znali między sobą ci, którzy przyjmowali go kiedyś — odeszli. Nowa rada zakładowa dopiero poznawała załogę. I właściwie nie widziała powodu, dlaczego nie podpisać „staremu” zwolnienia. Przecież nie chroni go jeszcze wiek przedemerytalny, ani żadne inne paragrafy.

Ochroniła go Daniela. Jako świeżo upieczony mąż zaufania, świeżo sformowanej grupy związkowej, czuła się w obowiązku pojechać te kilkanaście kilometrów do sąsiedniego miasteczka, zobaczyć jak żyje ten „stary”.

„Nieszczególny to był widok: chora żona, mały wnuczek na „tymczasowym przechowaniu”, bo rodzice rozeszli się i od miesięcy bujali gdzieś w świecie. Z pomocą fabryki udało się umieścić na razie dziecko w zakładzie wychowawczym. Teraz Daniela wydeptuje ścieżki do sądu. Trzeba zmusić oboje młodych do świadczeń na dziecko, które dziadkowie chcą i potrafią wychować. Był im pomóc w tych najtrudniejszych chwilach...”

Ani „Jolanta”, ani „Iwona”, ani „Daniela” nie uważały żeby było o czym pisać. Nie są przecież żadnymi bohaterkami.

Tylko że te drobiazgi, którym poświęcają czas i serce, one i tysiące podobnych do nich kobiet w różnych zakładach, w różnych komisjach rad zakładowych i w radach kobiecych — te drobiazgi właśnie pomagają innym ludziom w życiu. (jas)



gdzie są te ryby?

„Dlaczego w naszych sklepach nie ma pełnego zestawu ryb morskich i takich przetworów rybnych, jakie widziałem w waszym sklepie firmowym w Gdyni?”

„Proszę o przysłanie mi 50 puszek różnych konserw rybnych, ponieważ w naszych sklepach można kupić tylko śledzie”...

W Dyrekcji Zakładów Rybnych w Gdyni pokazywano mi całe pliki listów z różnych stron Polski, których autorzy skarżą się na złe zaopatrzenie sklepów w ryby i przetwory rybne. Na ten temat pisaliśmy zresztą już niejednokrotnie w „Przyjaciółce”, przytaczając między innymi dane statystyczne o niskim spożyciu ryb w Polsce. A jesteśmy przecież krajem morskim. Podczas gdy spożycie ryb w Szwecji wynosi 21 kg na mieszkańca, w NRD 13 kg, to u nas niespełna 5 kg. Przy czym są woje-

wództwa, w których — jak na przykład w rzeszowskim czy krakowskim — na jednego mieszkańca przypada rocznie zaledwie 2 kg ryb.

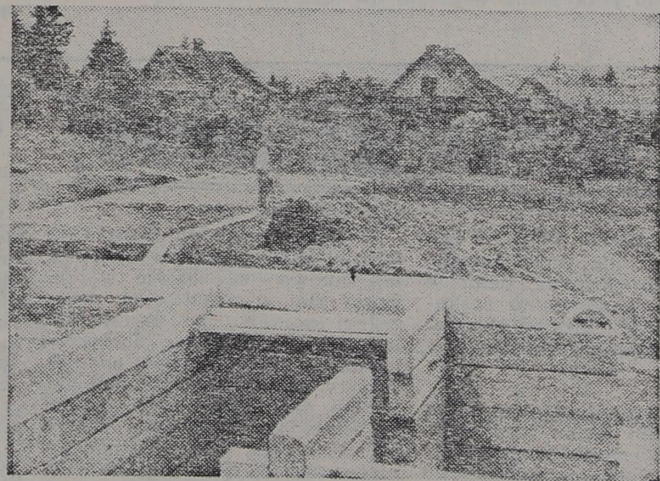
We wrześniu ubiegłego roku Komitet Ekonomiczny Rady Ministrów podjął specjalną uchwałę w sprawie zwiększenia zaopatrzenia rynku w ryby. Możliwości ku temu istnieją, bo rozbudowuje się nasza flota rybacka i z roku na rok wydatnie wzrastają połowy. Zdarza się nawet, że poszczególne przedsiębiorstwa połowowe muszą zawieszać działalność i przerywać pracę, bo nie mają co zrobić z towarami. Rzecz bowiem w tym, że za mało mamy chłodziń, zakładów przetwórczych i środków do specjalnego transportu ryb. Uchwała KERM przewiduje wydatkowanie 250 milionów złotych na rozbudowę zaplecza dla przetwórstwa rybnego i obrotu rybami. Przewiduje ona budowę wielkich hurtowni rybnych w Lublinie, Krakowie, Łodzi, Bydgoszczy, Zabrzu, Zielonej Górze, a poza tym sieci podhurtowni powiatowych. Równocześnie handel został zobowiązany do uruchomienia sklepów rybnych i stoisk z rybami w większych sklepach spożywczych.

Od podjęcia uchwały minął rok. Efekty jej nie są jeszcze takie, jakich należałoby oczekiwać. Budowa chłodziń i składnic postępuje w żółtym tempie. Są przedsiębiorstwa, jak na przykład „Barka” w Kołobrzegu, które plan inwestycyjny wykonały zaledwie w niewielkich procentach. Łamią się harmonogramy robót przy nowo wznoszonych chłodziach rybnych. Handel uruchomił w ciągu pierwszego półrocza bieżącego roku zaledwie sto sklepów rybnych i tylko w 470 sklepach spożywczych utworzono stoiska z rybami.

Klient wciąż więc czeka na ryby i przetwory rybne, gdy równocześnie w portach rybackich przetrzymywane są statki nie mające gdzie wyładować ryby przywiezionej z dalekich łowisk. A rybacy indywidualni narażani są na straty, nie mając zbytu na wartościowe przecież i poszukiwane produkty żywnościowe.

Foto: A. Piczkowski

BOJ.



Bieszczady przyjmują

chce z nami pojechać, ale nie jest rolnikiem” — pisze Janina Z. z pow. Nowy Dwór Mazowiecki.

W Bieszczadach ziemia wciąż czeka na rolników. Gospodarstwa położone są przeważnie na dobrych gruntach i użytkach zielonych. Cena 1 ha gruntów jest o 32 procent niższa od ceny obowiązującej na pozostałych terenach kraju. Gospodarstwo o powierzchni 10—15 ha

„Czy wciąż istnieje możliwość osiedlenia się w Bieszczadach i czy to prawda, że można tam nabyć ziemię na kredyt? Chciałabym też wiedzieć, czy znajduje się zajęcie dla siostry, która również

Ewa Curie Maria CURIE

[30]

Do ciasnych salek przy ul. Cuvier wchodzi co-
dzienne rano bardzo szczupła i bardzo blada ko-
bieta, której twarz zaczyna wędznąć i której blond
włosy nagle się zrobiły siwe. Zdjąwszy z wieszaka
gruby płócienny fartuch, okrywa nim swą czarną
suknię i siada do pracy.

Maria nie zdaje sobie sprawy z tego, że właśnie
w tym ponurym okresie życia stała się najpięk-
niejsza. Powiadają, — i jakież to jest prawdziwe
w stosunku do mojej matki! — że z biegiem lat
nasza twarz staje się taka, na jaką zasługujemy.
Jeśli dorastająca Maria Skłodowska była tylko
przystojna, jeśli studentka Sorbony i młoda mę-
żatka miała tylko bardzo wiele wdzięku, to teraz
— uczona, dojrzała już i zraniona okrutnie, jest
piękna w jakiś przedziwny sposób, uderzający i
doskonały. Jej urodzie nie trzeba było widać
świeżości ani uśmiechu... Lepiej, szlachetniej od
nich zdobi ją dziś, po czterdziestce, ten wyraz
smutnej powagi, ta wzrastająca wciąż wąłłość po-
staci. W oczach swych córek zachowa ona ów
idealny wygląd przez długie lata — aż do dnia,
kiedy Irena i Ewa zorientują się nagle z przera-
żeniem, że ich matka jest już bardzo starą ko-
bieta.

Jako profesor uniwersytetu, badacz i dyrektor
laboratorium, Maria Curie pracuje wciąż z tym
samym niesłychanym nateżeniem. Wykłada w dal-
szym ciągu w Sévres. W Sorbonie — gdzie w r.
1908 otrzymała stanowisko profesora zwyczajnego
— prowadzi pierwsze i jeszcze ciągle jedyne na
świecie wykłady z zakresu promieniotwórczości.
Surowo krytykując średnie szkolnictwo we Fran-
cji, Maria odnosi się jednak z najwyższym uzna-
niem do jej szkół akademickich i stara się dorów-
nać tym, którzy ongi — za jej studenckich cza-
sów — przejęli ją takim zachwytem.

Po dwóch latach profesury postanowiła wydać
drukami swe wykłady. W r. 1910 ogłasza podsta-
wowe dzieło o promieniotwórczości (Traité de
Radioactivité), na którego 971 stronach zaledwie
się może pomieścić skrót wiedzy, zdobytej na tym
polu od dnia, — tak niedawnego! — kiedy małż.
Curie oznajmili światu odkrycie radu.

Fotografii autorki nie ma w tej książce. Obok
tytułu umieściła Maria fotografię męża. Tę samą,
która zdobi inny ogromny tom, 600-stronicowy:
Dzieła Piotra Curie, zebrane, uporządkowane, po-
prawione i wydane przez nią w r. 1908.

W przedmowie do tego tomu kreśli historię ka-
riery naukowej Piotra i skarży się w powściągli-
wych słowach na okrucieństwo śmierci, która go
zabrała:

Ostatnie lata życia Piotra Curie były bardzo
płodne. Zarówno jego umysł jak i zręczność labo-
ratoryjna znajdowały się w pełnym rozkwicie...

Nowy okres życia otwierał się przed nim: okres,
który powinien był być — przy lepszych warun-
kach pracy — dalszym ciągiem jego wspaniałej
kariery naukowej. Los nie pozwolił, aby tak się
stało i musimy skłonić głowę przed jego niepojętą
wolą.

Po sławie małżonków Curie nadszedł czas na
osobistą sławę Marii Curie, coraz głośniejszą, do-
cierającą coraz dalej. W szufladach domu w
Sceaux gromadzą się tuzinami dyplomy doktorów
honoris causa i listy towarzystw naukowych, któ-
re mianują Marię swym członkiem-koresponden-
tem. Gromadzą się i leżą w ukryciu, nikomu nie
pokazywane, nawet nie spisane.

We Francji istnieją tylko dwa sposoby uczenia
wielkich ludzi za życia: Legia Honorowa i hotel w
Akademii. Krzyż oficerski Legii ofiarowują Marii
w r. 1910, ale go nie przyjmuje, zgodnie z poglą-
dami Piotra.

Czemuż nie zachowała tej samej postawy wobec
nazbyt życzliwych przyjaciół, którzy ją w parę
miesięcy później przyszli namawiać na postawie-
nie swej kandydatury do Akademii! Czy zapom-
niała o wszystkich przykrościach i upokorzeniach,
jakich jej mąż doznał. — nawet przy tych dru-
gich, zwycięskich wyborach? Czy nie zdaje sobie
sprawy z zawiści, jaka ją otacza?

Istotnie: z tego nie zdaje sobie sprawy, a zara-
zem, będąc Polką, nie chce, aby jej odmowę po-
czytano za niewdzięczność względem przybranej
ojczyzny. I za dowód zarozumiałości, pychy...

Jej współzawodnikiem jest Edward Branly, wy-
bitny uczony i bardzo gorący katolik. Pomiedzy



Rys. A. Uniechowski

„Curistami” i „Branlistami”, między partią wol-
nomysłowców a partią kleryków, między zwolen-
nikami a przeciwnikami sensacyjnej „rewolucji”,
jaką byłoby dopuszczenie kobiety do Instytutu,
— wubucha walka. Namietna, gwałtowna, nie
przebierająca w środkach. Maria patrzy z prze-
rażeniem na polemiki, których nie przewidywała i
wobec których jest całkiem bezsilna, bezbronna.

Największe nazwiska są w jej „obozie”; walczą
o nią: Henryk Poincaré, dr Roux, Emil Picard,
profesorowie: Lippmann, Bouty, Darboux. Ale
drugi obóz broni się zażarcie.

„Kobiety nie mogą zasiadać w Akademii!” woła
z entuzjazmem burzeniem p. Amagat, który przed
ośmiu laty był szczęśliwym współzawodnikiem
Piotra Curie. Katolikom szepce się podstępnie, że
Maria jest Żydówką, a wolnomysłowcom przypo-
mina, że to przecież — katoliczka. W dniu wy-
borów, 23 stycznia r. 1911, przewodniczący, otwie-
rając posiedzenie, mówi bardzo głośno do woź-
nych:

— Proszę wpuścić wszystkich, oprócz kobiet.
Jeden z akademików, prawie niewidomy, skarżył
się później, że tylko przypadkiem nie głosował
przeciwko pani Curie, której był gorącym zwolen-
nikiem. Bo mu potajemnie wsunęto do ręki fał-
szywą kartkę!

O czwartej po południu pod-
nieceni dziennikarze biegną
zredagować swe wzmianki —
triumfalne lub tchnące roz-
czarowaniem: pani Curie za-
brakło jednego głosu, by zo-
stać wybraną.

W laboratorium przy ul.
Cuvier jej asystenci, laboran-
ci oczekują wyroku o wiele
niecierpliwiej niż ona sama.
Są zresztą tak pewni zwycię-
stwa, że już od rana przygo-
towali ogromny bukiet, który
oto leży pod stołem z precy-
zyjnymi wagami. Na wieść o
przegranej — głupieją... Z
rozpaczą w sercu, mechanik,
Ludwik Ragot, wyrzuca nie-
potrzebny bukiet. Skonster-
nowani młodzieńcy, milcząc
zastanawiają się nad słowa-
mi pociechy, które się okaza-
ły równie zbyteczne, jak kwia-
ty... Maria, wyszedłszy ze
swego gabinetu spokojnym
krokiem i z pogodną twarzą,
nawet nie wspomni o swym
niepowodzeniu, bo się nim w
gruncie rzeczy wcale nie
przejęła.

Tak się już dziwnie splata-
ło w historii Curie'ch, jak
gdyby obce państwa zawsze
spieszyły naprawiać błędy
Francji. W grudniu Szwedz-
ka Akademia Nauk przyzna-
je Marii Curie nagrodę Nobla
z chemii za rok 1911 — w do-
wód uznania dla wspaniałych
prac, dokonanych przez nią
od czasu śmierci męża. Nigdy

jeszcze aż po dziś dzień — nikt nie dostąpił za-
szczytu otrzymania dwukrotnie tej nagrody!

W podróży do Sztokholmu towarzyszy Marii sio-
stra i starsza córka. Dziewczynka bierze udział we
wspaniałej uroczystości, którą zobaczy jeszcze raz,
w dwadzieścia cztery lata potem: gdy w tejże sali
jej będą wręczać tę samą nagrodę.

Poza zwykłymi przyjęciami oraz obiadem u kró-
la, Szwecja przygotowała specjalne rozrywki na
cześć Marii, która długo wspominać będzie zvlasz-
cza prześliczną zabawę ludową z setkami kobiet
w różnobarwnych strojach, z płonącymi świecz-
kami — na kształt diademów — na głowie.

Zaszczyty, jakimi ją darzą, przekazuje Maria w
hołdzie ceniom męża. Na wstępie do swego od-
czytu w Akademii sztokholmskiej mówi:

Zanim przystąpię do właściwego tematu, pragnę
przypomnieć, że odkrycia radu i polonu dokonali-
śmy wspólnie z Piotrem Curie. Jemu również
zawdzięczać należy w dziedzinie promieniotwó-
rczości szereg prac podstawowych, które prowadził
bądź sam, bądź ze mną, bądź też ze swymi ucz-
niami.

D. C. N.

Tłum. HANNA SZYLLEROWA

O KSIĄŻKACH

Powieść JOHN UPDIKE pt.
„Farma” jest nie tylko książką
o miłości do skrawka ziemi w
Pensylwanii, lecz również dosko-
nałym studium ludzkich charak-
terów, namietności, tesknót i roz-
terek.

Na farmę przyjeżdża na kilka
dni z Nowego Jorku Joey wraz
z żoną i pasierbem. Wezwiała go
matka, kobieta załamana po
śmierci swego męża, chora na
serce i nie mogąca już po-
dobać gospodarskim obowiązkom
na farmie, która jest jej naj-
większą miłością. Syn przyjeż-
dza więc, aby jej pomóc. Ale
wezwanie matki ma i inne pō-
budki. Pozornie chce ona bliżej
poznać jego drugą żonę, a wła-
ściwie udowodnić mu jak wiel-
ki popełnił błąd, opuszczając
pierwszą żonę — Joan i troje
dzieci. Liczy również i na to, że
gdy syn znajdzie się w domu
pełnym pamiątek i wspomnień
dzieciństwa, obudzi się w nim
pragnienie opuszczenia Nowego
Jorku i zamieszkania na farmie.

W ciągu dwóch dni pobytu na
farmie między starszą panią, a
jej synową nie ustaje walka.
Peggy stoi w zasadzie na prze-
granej pozycji, bo przeważnie
jest bezbronna wobec docinków
i aluzji inteligentniejszej od niej
kobiety. Matka wyczuwa jednak,
że nie może przeciągać struny.
Bo dorodna, zmysłowa Peggy
potrzebna jest Joemu, działa na
niego czar jej ciała, zapach wło-
sów, pieszczota rak. Ale jedno-
cześnie na Joego zaczyna od-
działywać dom, w którym „po-
wietrze zatruło było cierpie-
nieniem”. Po nocach zaczyna-
ją mu się śnić jego dzieci, od-
czuwa wyraźnie krzywdę, jaką
wyrządził Joan. Pod wpływem
matki zaczyna zdawać sobie
sprawę, jak głupia i pospolita
jest jego obecna żona. A jednak,
mimo to marzy o ucieczce do
miasta, tak jak marzył za dzie-
cinnych lat. Wśród zwykłych, co-
dziennych zajęć, wśród ciszy
wiejskiej, śpiewu ptaków i ra-
dosnego poszczekiwania psów,

rozgrywa się ten dramat ro-
dzinny.

Powieść przełożyła Maria Skib-
niewska (PIW, cena 12 zł).

Interesujące pozycje Czytelnika:

HUBERT FICHTE „Sieroci-
niec”. Akcja powieści rozgrywa
się w Niemczech hitlerowskich.
tematem są przeżycia nieślubne-
go dziecka Niemki i Żyda w
sierocińcu, prowadzonym przez
siostry zakonne. Przełożyła Edda
Werfel. Cena 10 zł.

FINN ALNAES „Kolos. Zapis-
ski Bragego Brageessona”. De-
biut, za który autor otrzymał
pierwszą nagrodę na ogólnoskan-
dynawskim konkursie na po-
wieść. Tłumaczył Józef Giebułto-
wicz. Cena 35 zł.

JOHANNES BOBROWSKI
„Młyn Lewina”. Powieść wbit-
nego poety i pisarza NRD. Tłum-
aczyli: Maria Kurecka, Witold
Wirpsza. Cena w oprawie 16 zł.
(Seria Nike).

JAN JAKUB ROUSSEAU
„Przechadzki samotnego marzy-
ciela”. Ostatni utwór francu-
skiego filozofa XVIII wieku —
jest uzupełnieniem słynnych
„Wyznań”. Przełożyła Maria
Gniewiewska. Wstęp napisał
Bronisław Baczko. (Biblioteka
„Sympozjon”). Cena 15 zł.

N.

MEDYCYNĄ i farmacją z każdym rokiem notują nowe osiągnięcia. Stwarzają chorem i ich bliskim nadzieję na złagodzenie bólu, na wyleczenie choroby, która jeszcze dziś wydaje się nieuleczalna. Oto fakty podane przez dyrektora Departamentu Leków Ministerstwa Zdrowia, mgr Jadwigę Nowicką:

— Dzięki szczepionce „Polio” — choroba Heinego-Medina — od kilku lat przestała być złą Szwabką, dyfteryt, które ongi kazały matkom w niepewności czuwać nocami nad dziećmi, lekać się o ich życie — dziś, dzięki antybiotykowi, przestały być chorobami bardzo groźnymi. Podporządkowanie się zaleceniom lekarza, szybko prowadzi do wyleczenia. Przy tym obie te choroby zdarzają się teraz znacznie rzadziej. W roku 1966 mieliśmy na przykład w Polsce zaledwie 400 przypadków dyfterytu. Krzywica, prowadząca do różnych kalectw, przestała być groźna dzięki witaminie A i D-3. Dzięki nowym lekoms udało się więc wyeliminować groźbę wielu ciężkich chorób wieku dziecięcego.

Chory i jego otoczenie (3)

Nowe leki

— A inne?
— Na przykład groźna choroba, gruźlica. Słowo „galopujące suchoty” wyszło dziś całkiem z użycia. Wczesne wykrycie gruźlicy daje szansę całkowitego wyleczenia. Rozwinięta choroba można leczyć latami. Duży postęp dzięki nowym lekom notuje się w leczeniu psychiatrycznym. Szpitale, oddziały psychiatryczne chorych — obecnie nawet zewnętrznie różnią się od dawnych. Nie słychać w nich przeraźliwych krzyków, nieartkułowanych wrzasków. Nowoczesne leki koją niepokój chorych, ułatwiają leczenie i powrót do normalnego życia.

— Na całym świecie wszystkich lekarzy niepokoi fakt niedyscyplinowania ludzi chorych — mówi dalej dyrektorka Nowicka. — Lekarz zaleca na przykład choremu na gruźlicę

specjalny tryb życia, odżywiania, poza tym zapisuje mu przyjmowanie leków. Chory stosuje się tylko do tego ostatniego polecenia i uważa, że wszystko jest w porządku. A że nowoczesne leki działają efektywnie i niesłychanie szybko, chory — zadowolony z poprawy — bardzo często zaczyna lekceważyć swój stan, nawet przerywa kurację. I wtedy następuje bardzo groźne pogorszenie.

Drugi niepokojący objaw: Ludzie „z dobrego serca” przekazują sobie wzajemnie różne lekarstwa — „Weź pan, bo mnie to świetnie zrobiło”. Tymczasem leki, dobre dla jednego człowieka, mogą być niezwykle szkodliwe lub wręcz zabójcze dla innego.

Zarówno chory jak i jego rodzina nie mogą zapominać, że chorobę zia-

godzić i wyleczyć można tylko pod kierunkiem lekarza; że wolno zażywać wyłącznie leki przepisane na własne nazwisko i w dawkach ściśle przez lekarza określonych.

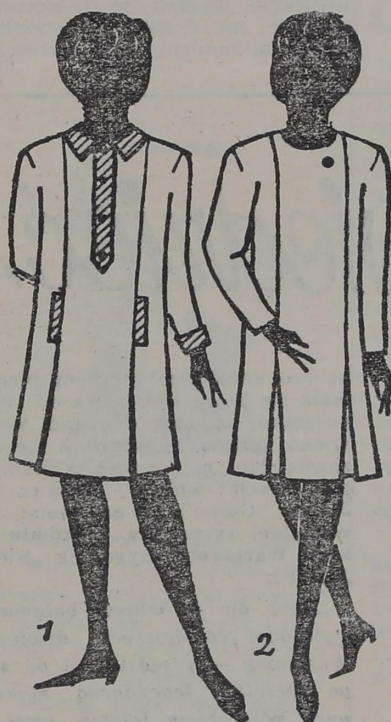
— Czy nowe leki, postęp w leczeniu — wpłynęły na zmniejszenie śmiertelności?

Dyrektor Nowicka podaje kilka liczb: W 1931 roku — Polak żył średnio 48 lat i 2 miesiące; Polka — 51 lat i cztery miesiące. Obecnie kobieta żyje średnio 70 lat i pół miesiąca, a mężczyzna 64 lata i 8 miesięcy.

W trzech kolejnych numerach zamieściliśmy rozmowy z wybitnymi specjalistami Służby Zdrowia na temat trudnych chwil, jakie niesie z sobą ciężka choroba. W rozmowach stale przewijało się słowo: rodzina, i jej wielki wpływ na los chorego.

Rozmowy przeprowadziła
HANNA POLSAKIEWICZ

Szyjąc same oszczędzamy



SUKNIA DLA OSÓB TĘGICH

Podany wykroj sukni przeznaczony jest dla osób bardzo tęgich o wymiarach nietypowych.

Zastosowanie podłużnych cięć w przodach wpływa na optyczne wyszczuplenie sylwetki.

Tył — zależnie od figury i wyboru fasonu — może być: luźny, z zaszewką lub lekko wcięty w szwie środkowym.

Przody dołem w cięciach zakończone są fałdą (Rys. 1), kontrą (Rys. 2) lub zastępowane do końca (Rys. 3, 4, 5).

W pierwszym wypadku wysunięte i zakreśkowane części wykroju b i c zeszywamy na maszynie od kropli do kropli, a otrzymaną fałdę zaprasowujemy do środka przodów.

W drugim wypadku, w omówionej części wykroju b i c zaprasowujemy

do wewnątrz wzdłuż linii przerywanych i podszywamy częścią e, tworząc w ten sposób kontrafałdę.

Fałdy zaszywamy do wysokości naznaczonej na wykroju krzyżkami.

Sukienkę możemy też uszyć ze szwem biegnącym środkiem przodów, zapinaną na guziki i dziurki lub петельki (Rys. 4). Bardzo korzystnie wygląda ze wstawioną częścią przodów w innym kolorze, z kołnierzykiem sportowym lub golfem oraz z zapieczeniem na zamek błyskawiczny. (Rys. 3 i 6).

Bardziej sportowy charakter sukienki otrzymamy zastosowując dodatki, jak: kołnierzyk g, mankiety h i plisę i z materiału w ciemniejszym kolorze. (Rys. 1).

Dla twarzy okrągłej i krótkiej szyi proponujemy kołnierzyk f o formie wydłużającej. (Rys. 5)

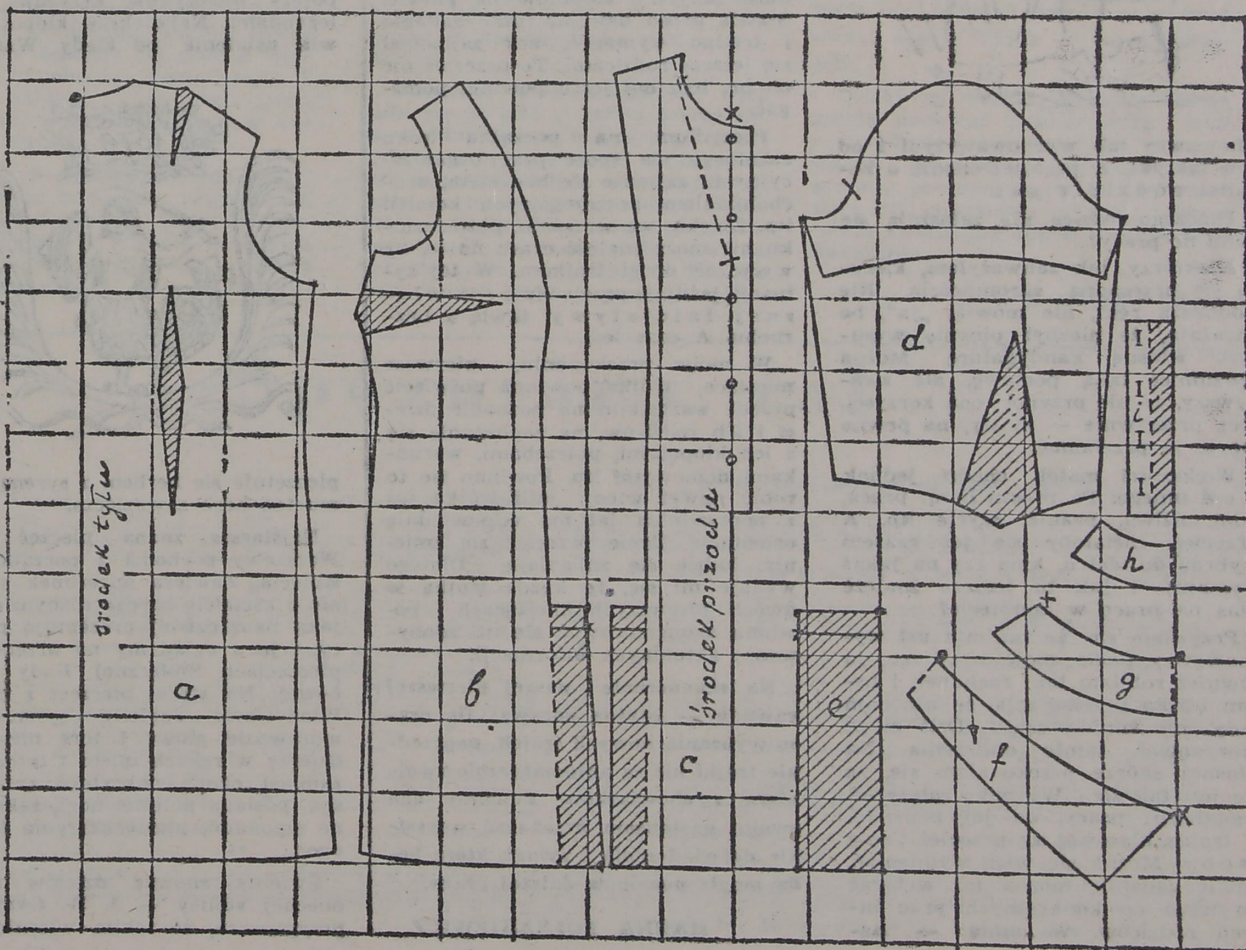
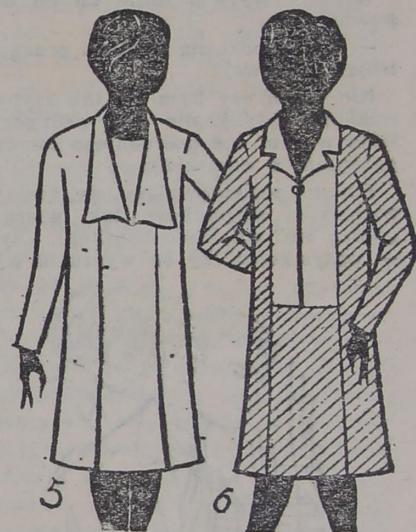
Szwy rozprasowujemy lub przeszywamy ozdobnie stębnówką szerokości 1 do 1 i pół cm.

Do sukienek podajemy krój rękawa długiego z zaszewką i krótkiego. Na uszycie takiej sukni potrzeba 2 m 40 cm materiału o szerokości 1 m 40 cm.

Wykroj, przygotowany jest na wy-

miary: obwód gorsu 130 do 132 cm, obwód bioder 134 do 136 cm.

Przy krojeniu należy dodać na szwy i założenia. Wykroj wykonany jest w skali 1:10 tj. 1 kratka na rysunku odpowiada 10 cm w rzeczywistości.



Trójka klasowa ①

START

Przecz rok pracowałam w Komitecie rodzicielskim, a ściślej w trójce klasowej. Mogę więc powiedzieć, że zyskałam już pewne „szlify” w rodzicielskiej pracy w szkole i teraz chciałabym na łamach „Przyjaciółki” przekazać Wam swoje spostrzeżenia. Zdać sobie oczywiście sprawę, że wiele matek i ojców ma bogatsze doświadczenia z długoletniej pracy w komitetach. Byłoby bardzo dobrze, gdyby zechcieli się oni włączyć do naszych gawęd, które będą się ukazywać pod stałym tytułem: „trójka klasowa”. Najciekawsze wypowiedzi wydrukujemy.

*

Siadłam w ławie szkolnej własnego dziecka. Mimo że była dla mnie trochę przyciasna, kręciłam się. Jednakże nie dla przypomnienia sobie zwyczajów szkolnych, lecz aby zorientować się, ilu rodziców przyszło na zebranie z wychowawcą.

Właśnie wyrwał mnie on do odpowiedzi:

— Czy zgodzi się pani na pracę w trójce klasowej?

Nie wiem czy bym się tak szybko zgodziła, gdyby nie ten pedagog. Było w nim coś pośredniego między pytaniem a naciskiem.

Potem zorientowałam się, że w większości wypadków tak właśnie „rodzą się” działacze komitetu. Czyli — wszystko zależy od wyczucia wy-



chowawcy lub wychowawczyni i od ich taktyki. A przecież chodzi o komitet rodzicielski.

Dlaczego rodzice nie zgłaszają się sami do pracy?

Niektórzy, jak zauważyłam, kierują się przesadą skromnością. Nie podnoszą ręki, nie mówią: „ja”, bo uważają, że niezbyt pięknie wysuwać własną kandydaturę. Można zrozumieć taką postawę, ale zważywszy, że nie przynosi ona korzyści, lecz przeciwnie — straty, na pewno warto ją przełamać.

Większość matek chodzi jednak o coś innego. Po prostu liczą: praca, dom, dzieci, pranie, życie itp. A przecież chciałoby się też czasem wybrać do teatru, kina czy na jakąś wystawę. I jak tu jeszcze znaleźć czas na pracę w Komitecie?

Przyznam się, że zanim z usł wychowawcy padło moje nazwisko, ja również robiłam taki rachunek i byłam bliska przekonania, że nie dam rady, nie znajduję czasu. Dziś mogę skorygować tamte obliczenia. Na własnej skórze przekonałam się, że nie jest tak źle. Wszystko zależy od organizacji pracy, od jej podziału. W trójce klasowej są przecież trzy osoby. Można się więc wymieniać, dzielić zadania, można też wciągać dorywczo do konkretnych prac innych rodziców. W sumie — na-

prawdę można dać radę, można zmieścić się w czasie. A gra warta świeczki: chodzi przecież o nasze własne dzieci, o ich interes.

Ale wróćmy do mojej „praktyki”. Zaraz po zebraniu wyszliśmy z klasy na korytarz. Patrzyliśmy na siebie trochę oszołomieni. „Trójka” — to była matka jednej z dziewczynek, ojciec drugiej i ja. Mieliśmy podzielić funkcje. W tej sprawie nasz jedyny mężczyzna okazał błyskawiczny refleks.

— Przewodniczącą będzie pani — wskazał na mnie.

— Dlaczego? — po raz drugi tego dnia poczułam się mocno zaskoczona.

— Panie mają pierwszeństwo — oznajmił tata dziewczynki.

Potem okazało się, że cała nasza świeżo upieczona trójka nie ma żadnego doświadczenia w pracy w Komitecie. Nie znaliśmy dzieci, ani ich rodziców. Była to pierwsza klasa szkoły średniej.

NIE będę teraz opisywać borykania się nowicjuszy. W kolejnych gawędach ujawnią się różne nasze potknięcia, błędy i drobne sukcesy. Dziś — chciałabym jeszcze tylko powiedzieć, do jakich wniosków doszłam po roku pracy.

Otóż, „z urzędu” co miesiąc bywałam na zebraniach prezydium komitetu rodzicielskiego, obserwowałam także pracę innych trójek i uważałam, że właśnie one są słabym punktem komitetu. Wiąże się to ściśle z pierwszymi miesiącami roku szkolnego. Bo trójki w tym czasie przeważnie jeszcze nie robią, a tylko czekają. Na co? Na polecenia czy grzeczniej mówiąc, prośby wychowawcy, albo na polecenia prezydium komitetu.

Wychowawca ma wystarczająco dużo innych kłopotów na głowie. Stawia przed dziećmi różne zadania i trudno wymagać, aby zajmował się jeszcze rodzicami. To przecież nie on im, lecz oni jemu powinni pomagać.

Prezydium na początku roku szkolnego ma sporo prac organizacyjnych: zajmuje się budżetem, uruchamianiem poszczególnych komisji itp. Zwykle we wrześniu, październiku nie może znaleźć czasu na to, by wytyczać drogi trójkom. W tej sytuacji, jeśli nie przejawiają one własnej inicjatywy, tkwią w bezruchu. A czas leci...

W moim przekonaniu, pierwsze miesiące trójka powinna poświęcić przede wszystkim na poznanie dzieci i ich rodziców, na zapoznanie się z ich kłopotami, potrzebami, warunkami domowymi itp. Powinno się to robić nawet wtedy, jeśli trójka już z poprzednich lat ma odpowiednią orientację. Życie przecież się zmienia, ludzie się zmieniają. Dlatego wydaje mi się, że każda trójka w dwóch pierwszych miesiącach powinna skoncentrować się na zdobywaniu aktualnych informacji.

Na zakończenie naszej pierwszej gawędy — istotna sprawa: Do czasu wybrania nowych trójek, poprzednie trójki nie są automatycznie zwolnione z obowiązków. Powinny one swoim następcom przekazać wszystkie doświadczenia i uwagi, które będą mogły pomóc w dalszej pracy.

HANNA POLSAKIEWICZ

S EJM Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej na pierwszym po letniej przerwie plenarnym posiedzeniu, obradował nad rozwojem usług dla ludności miast i wsi.

Wzrost zapotrzebowania na usługi jest wynikiem ogólnego rozwoju gospodarczego kraju i techniki, która coraz pełniej wkracza do naszego codziennego życia. Tymczasem brak odpowiednich warsztatów naprawczych powoduje, że urządzenia, z których w coraz szerszym zakresie korzystamy — jak lodówki, telewizory, pralki, odkurzacze itp. nie są w pełni wykorzystywane, albo ulegają przedwczesnemu zniszczeniu. Wzrasta też zapotrzebowanie na usługi ułatwiające ludziom pracę, odciążające od codziennych obowiązków, pozwalające lepiej i wygodniej żyć.

Plany państwowe przewidują stały rozwój usług. Między innymi do roku 1970 we wszystkich miastach wojewódzkich i wydzielonych powstanie pełna sieć zakładów naprawczych sprzętu technicznego użytku domowego; zaś w miastach powiatowych i mniejszych, stanowiących ośrodki rejonów rolniczych, znajdzie się pełny zestaw różnorodnych placówek usługowych, odpowiadających potrzebom okolicznych wsi.

Posłowie zabierając głos z trybuny sejmowej stwierdzili, że jest widoczny postęp w rozwoju usług. Powstaje sieć warsztatów naprawczych, przybywa warsztatów rzemieślniczych, zajmują się tymi spra-

Usługi dla ludności

wami organizacje handlowe jak MHD, PSS, spółdzielczość samopomocowa, ELDOM, ZURIT i inne. Coraz więcej różnych towarów objętych jest gwarancją przy sprzedaży. Posłowie jednak nie szczędzili słów krytyki, bo w odczuciu zwykłych ludzi, z usługami jest kłopotów co nie miara. Szczególnie zaniedbane są usługi na wsiach.

W województwie kieleckim prawie połowa punktów usługowych mieści się w miastach. Tymczasem miasta kielecczyny zamieszkuje niespełna trzecia część ludności. A zatem większość mieszkańców tego województwa musi odbywać długie wędrówki w poszukiwaniu fachowca, który naprawiłby maszynę do szycia, czy uszył ubranie, nie mówiąc już o naprawie zepsutego silnika elektrycznego czy telewizora. Podobnie jest w woj. wrocławskim.

Warsztaty usługowe przeważnie są źle wyposażone. Brak w nich narzędzi i urządzeń, pozwalających na usuwanie usterek w nowoczesnym sprzęcie; nie dysponują niezbędnymi częściami zamiennymi i surowcami i

Chcę wiedzieć...

OD KIEDY SYRENA JEST HERBEM WARSZAWY? I DLACZEGO WŁASNIE SYRENA?

Dzieje herbu naszej stolicy nie doczekały się jeszcze naukowego opracowania. Rozmaite hipotezy historyków krzyżują się z legendami. Największy kłopot sprawia ustalenie, od kiedy Warszawa



pieczętuje się herbem z syreną i komu ten herb zawdzięcza.

Najstarsza, znana pieczęć Starej Warszawy pochodzi z początku XV stulecia. Zawiera wizerunek syreny, ale o kształcie bardzo różnym od tej, jaką nam dzisiaj prezentują plastycy, i jaką oglądamy na urzędowych pieczęciach Stołecznej Rady Narodowej. Na starej pieczęci z czasów Władysława Jagiełły syrena ma wprawdzie głowę i tors niewiasty, dzierży w rękach miecz i tarczę, ale zamiast ogona pokrytego rybą łuską, posiada potężne nogi, zakończone szponami, płasie skrzydła i ptasi ogon.

Świetny znawca dziejów naszej obecnej stolicy — J. W. Gomulicki przypuszcza, że takim właśnie (lub

bardzo podobnym) herbem pieczętowała się Stara Warszawa od samego początku, to znaczy odkąd w XIII wieku została miastem. A herb ten zawdzięcza najpewniej któremuś z pierwszych wójtów. Oto co pisze Juliusz Gomulicki na temat warszawskiej syrenki w „Siedmiu wiekach Warszawy” (tygodnik „Stolica” 1961 r.):

„Herb ów — wbrew białemu wywodom późniejszych dziejopisów Warszawy — przedstawiał od samego początku legendarną syrenę, a więc pół-kobietę (głowa, tors) pół-ptaka (skrzydła, ogon, łapy), którą dopiero w XVI wieku zyskała rybą ogon, a na przełomie XVII i XVIII utraciła łapy i skrzydła...”

Syrenka towarzyszy więc Warszawie od narodzin miasta, wraz z tym, którym przeobrażała się, piękniła, rosła, by z drapieżnego i nieco porzyskiego wrowatego ptaszyska z głową niewiasty zmienić się w smukłą, pełną wdzięku i wymowy pół-rybę, pół-kobietę.



nie mają odpowiednich pomieszczeń. Rozwój usług natrafia też na trudności z powodu braku fachowców. Stąd wiele do życzenia pozostawia jakość usług, a na naprawę drobnej usterki klient musi nieraz czekać tygodniami.

Choć o rozwoju usług wiele się mówi i pisze — władze terenowe nie zawsze to doceniały, nie przydzielały odpowiednich lokali, nie kształciły potrzebnych na danym terenie fachowców, mimo że posiadały na to odpowiednie środki. Toteż zdarzało się, jak na przykład w województwie warszawskim, że na 33 powiaty, aż w 15 nie uruchomiono zaplanowanej sieci punktów usługowych.

To że rozwój usług był omawiany na plenarnym posiedzeniu Sejmu dowodzi, jak wielką wagę Sejm przywiązuje do zaspokajania codziennych potrzeb ludności. Wicemarszałek Sejmu, Zenon Kliszko, podsumowując obrady, dużo miejsca poświęcił społecznej randze usług i ludziom, którzy je wykonują — cieszącym się wysokim uznaniem rzemieślnikom.

Opinie posłów i żądania pod adresem organizatorów usług niewątpliwie przyczynią się do szybszej i lepszej realizacji planów rozwoju zarówno sieci punktów usługowych jak i do wprowadzenia nowych form usług, zgodnie z rozwojem techniki i nowymi potrzebami społeczeństwa.

BOJ.

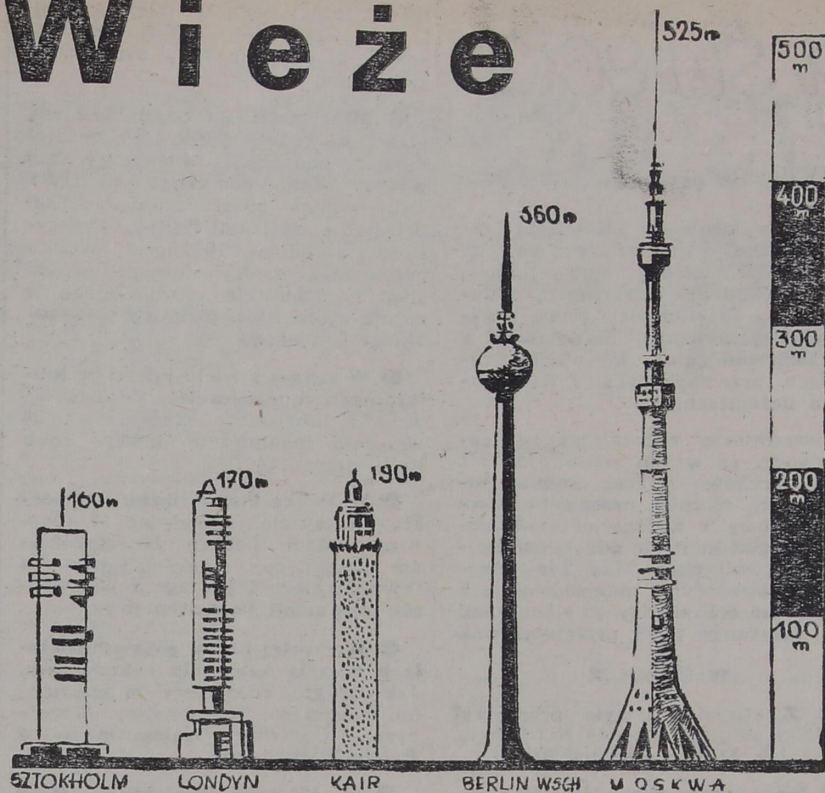


A dlaczego warszawiacy sprzed siedmiu wieków obrali sobie jako znak własne syrenę? Fantastyczne stwory: pół-ptaki czy pół-ryby i pół-ludzie znane były w legendach starożytnej Grecji. Uchodzący tam za demony śmierci, które duszę zmarłego porywają do krainy wieczności. Homer w swoim eposie przekazał nam legendę o syrenach, wabiących pięknym śpiewem Odysseusza, powracającego do rodzinnej Itaki. Wizerunki syren znajdowały się często na greckich wazach. Jako element dekoracyjny weszły także do sztuki o rzymskiej. Znane były i w średnio-wieczu. Nawet próbowano użyć ich jako symbolu czterech ewangelii. Ludzie znad Wisły i Warty mieli kontakty z Rzymem starożytnym, a później z Rzymem papieskim. Zawędrowała więc syrenka na północ i znalazła się na pieczęci miasta, które w przyszłości miało zostać stolicą Państwa Polskiego.

W czasach Odrodzenia coraz powściągliwiej staje się postać syreny z rybim ogonem. Wówczas także następuje powolne przeobrażenie naszej warszawskiej syrenki. Jako pół-ryba, a pół-niewiasta znalazła gościnne schronienie w wiślanych szarych falach, skąd patroluje aż po dzisiejszy dzień Starej, Nowej i Najnowszej Warszawy.

J. STĘPIENIOWA

Wieże



CHYBA najstarsza, przysłowiowa i legendarna wieża, była wieża Babel. Badania archeologiczne odnalazły jej fundamenty w kraju Szinear w dorzeczu Tygrysu i Eufratu i — choć Biblia mówi, że „sięgała szczytem niebios” — obecni badacze twierdzą, że nie mogła mieć więcej niż około 90 metrów wysokości.

A to już jeden z „cudów świata”: wieża — latarnia morska na wyspie Faros, u północnych wybrzeży Egiptu, u wejścia do największego wówczas (300—280 lat p.n.e.) na świecie portu — Aleksandrii. Miała wysokość 120—150 metrów. Na jej szczycie było ogromne palenisko, do którego drewno dowoziły juczne zwierzęta po spirali, mieszczącej się na zewnątrz budynku. Za paleniskiem był reflektor z granitu, który rzucał na morze snop światła, widoczny z odległości przeszło stu kilometrów.

Przez długie wieki wieże były raczej tylko symbolami potęgi i chwały, zdobąc kościoły czy pałace. Służyły też do obrony, sygnalizacji, aż wreszcie zaczęły służyć jako... „wieże wodne”, wieże wyciągowe w kopalniach itp.

Dopiero w drugiej połowie XIX wieku wieże budowano również dla celów turystycznych. Były to tzw. wieże widokowe. Właśnie do takich należy słynna paryska wieża Eiffla (300 m. wysokości), która w 1889 ro-

ku stała się niezwykle rewelacją. Po raz pierwszy w świecie zbudowano wieżę tak wysoką i tak inną, bo o stalowej konstrukcji kratowej.

Po wieży Eiffla, która do tej pory jest wzorcem budowy dla wszystkich niemal wież radiowych i telewizyjnych, na przełomie wieków XIX i XX nastąpiła era wieżowców, czyli „drapaczy chmur”, „niebotyków”. Zrodził je kapitalizm amerykański, konieczność rozbudowy miast w górę, szczególnie duszącego się w ciasnych granicach Nowego Jorku i — niezmiennie wysokie ceny za każdy metr ziemi w centrum miasta.

Co prawda pierwsze, zaledwie kilkunastopiętrowe wieżowce nie tylko wzbudzały niechęć ale i strach, że się wywrócą. Tym budowlom nie wróżono przyszłości. Mimo to — wyrastały i... wyrastały dotąd jak grzyby po deszczu. I coraz wyższe. Do niedawna najwyższy był słynny „Empire State Building” (coś niby ratusz) w Nowym Jorku (442 m. wysokości).

Przełomem w budownictwie wież stała się w 1953 r. wieża telewizyjna w Stuttgarcie. Inżynier architekt F. Leonhardt doszedł do wniosku, że dotychczasowe wieże telewizyjne, oparte na tradycyjnej budowie stalowej konstrukcji kratowej, są „niefotogeniczne”; że taka wieża powinna być nie tylko użyteczna dla TV, ale i dla innych celów, a przy tym pięk-

na. Wybudował więc z żelbetonu coś w rodzaju komina, pustego w środku (jeżdżą w nim dwie windy) i wysokiego na 159 m. Na jego szczycie znajduje się rodzaj beczki o czterech piętach, w których mieści się stacja nadawcza TV, urządzenia klimatyzacyjne i sanitarne, restauracja na około 600 osób i otwarty pawilon widokowy. Nad tą gigantyczną „beczką” umieszczony jest maszt telewizyjny, przedłużający wieżę do 211 m wysokości. Naturalnie, zbudowana na tak wielkiej wysokości „beczka” się chwieje; jej odchylenia nie są jednak większe niż około 30 cm, ale odchylenia czubka masytu dochodzą do 1,5 m.

Kilkanaście lat temu wieża w Stuttgarcie należała do „cudów techniki”. Była pierwszą budowlą o tego typu masywnej konstrukcji i była najwyższą w świecie — nie licząc masytu radiostacji w Montgomery (USA), o ażurowej konstrukcji, wysokości 560 m.

Ale wszystkie te wieże zakasala ostatnio wieża telewizyjna w Moskwie. Znajduje się ona w ośrodku TV, pomiędzy 40 pięciopiętrowymi budynkami. Pięknie, nieraz ponad chmurami, góruje nad Moskwą. Składa się z właściwej wieży o konstrukcji żelbetonowej wysokości 385 m, nad którą jako przedłużenie, sterczy maszt antenowy mający 140 m wysokości. Cała wieża jest o 225 m wyższa od wieży Eiffla. W tym typie — jest najwyższą na świecie. Jej średnica u podstawy wynosi 60 m, u szczytu — 8,1 m, wyglądem przypomina gigantyczny, wydłużony stożek. Wiatry huraganowe mogą odchyłać maszt nawet o 10—11 m, ale konstrukcji to nie zaszkodzi.

Na 13 dolnych piętrach są rozmieszczone techniczne urządzenia TV. Cztery windy szybkie mogą zabierać po 56 osób, które w ciągu 80 sekund dojadą do galerii obserwacyjnej na 340 m wysokości. Jest tych galerii trzy i mieszczą jednocześnie 800 osób. Tu też — pod, a czasem nad chmurami — mieści się restauracja na 240 osób, która może się obracać wokół antenowej części wieży. Widok — jak z samolotu.

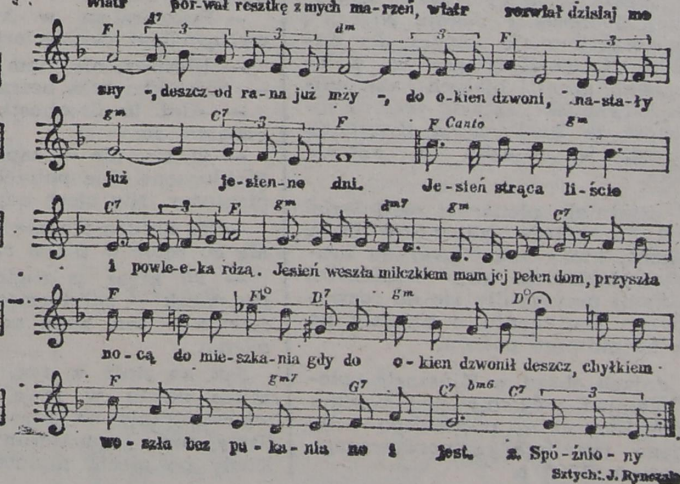
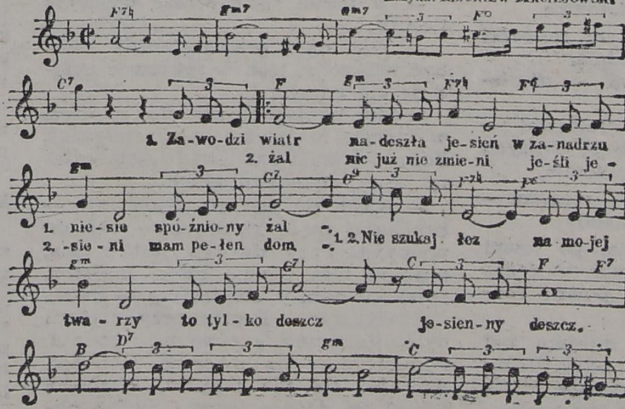
Dzięki tej wieży Moskwa będzie mogła nadawać równocześnie trzy czarno-białe programy TV, a w przyszłości przewiduje się nadawanie siedmiu programów, w tym również telewizji kolorowej. Ta najwyższa wieża świata jest już w stadium wykańczania.

L. GUMOWSKA

Spóźniony żal

Słowa: ADAM SÉNAPÉ

Musyka: ZBIGNIEW MACIEJOWSKI



(Ciąg dalszy ze str. 8)

Sytuacja na Bliskim Wschodzie znów znalazła się na forum Zgromadzenia Ogólnego Narodów Zjednoczonych. W sesji, która rozpoczęła się 19 września, biorą udział premierzy, ministrowie spraw zagranicznych i inne osobistości ze 122 krajów członkowskich ONZ.

*

Abdel Hakim Amer, były wiceprezydent i zastępca naczelnego dowódcy sił zbrojnych ZRA, popełnił samobójstwo. Marszałek Amer stał na czele spisku oficerów, którego celem było obalenie rządu prezydenta Nasera.

Rząd Izraela wydał znaczki pocztowe, gloryfikujące jego agresję na kraje arabskie. Jest to sprzeczne z uchwałami Kongresu Światowego Związku Pocztowego w Ottawie, który zalecił, aby przy ustalaniu motywów znaczków zarządy pocztowe wybierały tematy mogące się przyczynić do wzajemnego porozumienia narodów i do zacieśnienia więzów przyjaźni międzynarodowej.

W związku z tym polskie Ministerstwo Łączności zarządziło, aby wysyłane z Izraela przesyłki pocztowe, na których umieszczono te znaczki, nie były doręczane adresatom, lecz zwracane do miejsca nadania, z podaniem na nich dokładnego powodu ich zwrotu.

POMNIK CZYNU REWOLUCYJNEGO

W Sosnowcu, na wielkiej manifestacji z okazji odsłonięcia Pomnika Czynu Rewolucyjnego, wzniesionego dla uczczenia 50 rocznicy Rewolucji Październikowej i 25 rocznicy powstania Polskiej Partii Robotniczej — przemówienie wygłosił Władysław Gomułka. I sekretarz KC PZPR stwierdził między innymi, że pomnik ten, zbudowany w samym sercu Czerwonego Zagłębia, „symbolizuje (...) nie tylko pełną chwałę rewolucyjną drogę polskiego proletariatu, na którego czele szli zawsze robotnicy Zagłębia i Śląska, nie tylko wielki wkład klasy robotniczej w budowę nowej ludowej Polski, lecz i siłę międzynarodowej idei socjalizmu, która jest drogowskazem całej postępowej ludzkości”.

AFRYKAŃSKI „SZCZYT”

W stolicy Konga — Kinszasie obradowała Organizacja Jedności Afrykańskiej (OJA). Postanowiono: 1) wysłać „misję doradczą” do Lagos, celem „ocalenia integralności terytorialnej, jedności i pokoju Nigerii”; 2) powołać komisję pomocy dla Republiki Konga-Kinszas, w walce przeciwko agresji białych najemników. Afrykański „szczyt” wyraził solidarność ze Zjednoczoną Republiką Arabską, w związku z agresją Izraela.

W ostatniej plenarnej sesji wziął udział sekretarz generalny ONZ, U Thant, który zaapelował do krajów afrykańskich, aby wspólnymi wysiłkami przyczynili się do rozwoju swego kontynentu, i działały na rzecz światowego pokoju.

W dniach obrad w Kinszasie położono kamień węgielny pod pomnik Patrice Lumumby, pierwszego kongijskiego premiera, zamordowanego w styczniu 1960 r.

W CHINACH

Ostatnia uchwała „Komitetu rewolucyjnego” Pekinu wzywa do umacniania władzy hunwejbínów, armii i działaczy partyjnych, oddanych Mao Tse-tungowi. Nowe organy władzy powinny powstawać w okręgach miejskich, we wsiach, zakładach przemysłowych i na wyższych uczelniach.

Obserwatorzy zagraniczni zwracają uwagę, że w ten sposób już nie tylko terenowe władze administracyjne, lecz również przedsiębiorstwa przemysłowe i wyższe uczelnie oddaje się pod kontrolę oddziałów wojskowych, wiernych Mao Tse-tungowi. W niektórych miejscowościach trwają starcia między zwolennikami Mao Tse-tunga i ich przeciwnikami.

W SKRÓCIE

● Z oficjalną wizytą przebywał w Belgii minister Obrony Narodowej, Marszałek Marian Spychalski.

● Inauguracja obchodów 100 rocznicy urodzin Marii Skłodowskiej-Curie odbyła się w Lublinie. Zaszczycił ten przypadek temu miastu z dwóch względów: tu znajduje się uniwersytet noszący imię wielkiej uczzonej, i tu jej dziad — Józef Skłodowski, przez długie lata był dyrektorem gimnazjum.

● Mija tysiąc lat od dnia, kiedy Mieszko I, jednocząc słowiańskie plemiona, podporządkował i wcielił wyspę Wolin do swego państwa. Tym samym oparł granice Polski o Odrę i zachodni Bałtyk. Uroczystości z okazji 1000-lecia Wolina przewidują między innymi wielki wiec i odsłonięcie wzniesionego w czynie społecznym pomnika słowiańskiego Trzygława.

● W znanej z wielu inicjatyw kulturalnych miejscowości Włoszczowa w woj. lubelskim odbędzie się 30 września inauguracja nowego roku kulturalnego 1967/68.

● W Polsce i w Związku Radzieckim uroczystości obchodzone 90 rocznicę urodzin Feliksa Dzierżyńskiego, wybitnego polskiego działacza rewolucyjnego i jednego z przywódców rewolucji październikowej.

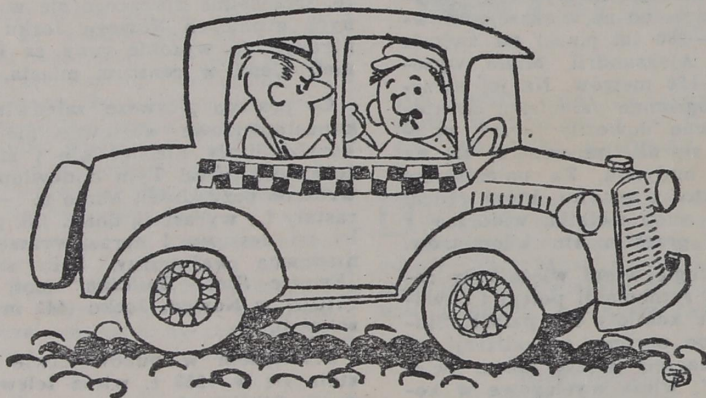
● Wcześniej niż w poprzednich latach ruszyła kampania cukrownicza. Jak zwykle, rozpoczęły ją cukrownie lubelskie: Klemensów, Woźniczyn i Rejowiec. Ogółem mamy w Polsce 77 cukrowni.

● W 100-lecie wydania I tomu „Kapitału” Karola Marksa odbyła się w Berlinie międzynarodowa sesja naukowa, z udziałem przedstawicieli 39 krajów.

Na wesoło

GRIGORIJ CORTIN

Uczciwy kierowca



Podniosłem rękę. Taksówka przystanęła.

— Dzień dobry — powiedziałem — czy zechce mnie pan podwieźć na pl. Zgody, to blisko, ale ogromnie się spieszę.

— Ależ proszę, dokąd tylko pan sobie życzy — odrzekł kierowca. Po trzech minutach byliśmy na miejscu. Licznik wskazywał 9 zł. Wyciągnąłem banknot pięćdziesięci-złotowy.

— Nie mam drobnych — powiedział kierowca.

— Poszperałem w kieszeniach i wyciągnąłem dziesięci-złotówkę.

— Niestety, nie mam ani złotówki — rzekł kierowca bezradnie.

— Ależ to drobnostka — uśmiechnąłem się.

— O nie, nie — zaprotestował — Wykluczone. Nie potrzebuję cudzych pieniędzy. Nie biorę napiwków.

— To bardzo pięknie — rzekłem — ale co robić w takim razie?

— Tu zaraz za rogiem po lewej jest kiosk — poinformował mnie życzliwie — tam panu na pewno rozmienia.

Jak na złość w tym miejscu był zakaz skrętu w lewo. Skręciliśmy więc zwrócić na prawo, ale trafiliśmy na jednokierunkową ulicę. Kiedy po pięciu minutach dotarliśmy

my wreszcie do kiosku, zamknięto go właśnie z powodu przyjęcia towaru. Licznik wskazywał szesnaście złotych.

— Nie mam reszty — z zażenowaniem powtórzył kierowca. — Napiwków nie biorę.

Przejechaliśmy jeszcze kilkaset metrów. Licznik wybił równo 20 złotych.

— Stop — powiedziałem. Niech pan stanie.

— Tu jest, niestety, zakaz zatrzymywania się — odrzekł — Widzi pan znak?

— W takim razie proszę wyłączyć licznik.

— Nie mam prawa, licznik musi być włączony, jeśli w taksówce znajduje się pasażer.

Kiedy podjechaliśmy do miejsca, w którym można było zatrzymać, licznik wskazywał dwadzieścia cztery złote. Jęknąłem głucho.

— Niech się pan nie denerwuje — uspokajał mnie kierowca — coś się wymyślił. Przy dworcu jest poczta, pracuje tam pewna moja znajoma, rozmieni nam pieniądze raz — dwa.

Ruszyliśmy. Poczta przy dworcu była nieczynna z powodu remontu. Pomknęliśmy na dworzec zachodni. Aby mi się nie nudziło, kierowca zabrał po drodze jeszcze dwóch pasażerów.

24—30.IX.

Niedziela: 8.50 — Kurs Rolniczy; 9.25 — Przypominamy, radzimy; 9.40 — Przedmieście Leningradu (z Leningradu); 10.20 — Sport i zabawa (z Dessau — NRĐ); 11.00 — „Minerzy podniebnych dróg” — film radz.; 12.40 — „Koch, który mówi”; 13.10 — „Bonanza”; 14.00 — Teatrzyk dla przedszkolaków; 14.50 — Przemiany; 15.10 — W starym kinie; 16.10 — Ludzie i zdarzenia; 16.20 — „Egipt darem Nilu” — film NRĐ; 17.20 — Teatrzyk Janusza Oseki; 18.00 — Piórkami i węglem; 18.40 — Portrety — K. L. Gałczyński; 20.00 — Warszawska Jesień; 21.00 — „Rancho złoczyńców” — film USA.

Poniedziałek: 15.45 oraz 16.25 — Politechnika TV; 17.00 — „Bolek i Lolek na wakacjach”; 17.10 — Pod siatką; 17.30 — Tramp; 17.50 — „Za siedmioma górami”; 18.15 — Magazyn postępu techn.; 18.45 — Kin krótkich filmów; 20.05 — Próby; 20.30 — Teatr TV; 22.00 — „Zjazd pisarzy Ziemi Zachodniej i Płn.” — rep. film; 22.30 — „Z kamery po świecie”; 23.00 oraz 23.35 — Politechnika TV.

Wtorek: 7.30 — „Dr Schluter” (część II) film NRĐ; 9.00 — Na ulicy (kl. I); 11.00 — Pogoda na jutro (kl. IV); 11.55 — Wesele (kl. XI); 12.30 oraz 15.10 — Przesposobienie rolnicze; 15.45 oraz 16.25 — Politechnika TV; 17.00 — Zrób to sam; 17.15 — Klub pod smokiem; 17.55 — Wtem wszystko; 18.25 — Gorąca linia; 19.05 — Kurier Warszawski; 20.05 — „Dr Schluter” — film NRĐ; 21.50 — Profile kultury; 22.45 oraz 23.15 — Politechnika TV.

Środa: 9.30 — „Szkoła miłości” — film CSRS; 10.55 — Z wizytą w Sejmie (kl. VIII); 11.55 — Zjawiska świetlne (kl. VIII); 15.45 oraz 16.25 — Politechnika TV; 17.00 — „Fligle Pimpusia” film; 17.10 — PKF; 17.20 — Nie tylko dla pań; 17.45 — Jan Leon Hipolit Kozietulski; 18.15 — Program muzyczny; 18.40 — Pod znakiem jakości; 20.05 — Film; 20.20 — Studio 53; „Haftowane ostry”; 21.20 — Światowid; 21.40 — „Dr Monn” — film USA; 21.50 oraz 23.20 — Politechnika TV.

Czwartek: 9.55 — Pierwsza wojna światowa (kl. VIII); 11.55 — Jan Kochanowski (kl. VII); 15.45 oraz 16.25 — Politechnika TV; 17.00 — Kino „Ptyś”; 17.15 — Fizyka na płatkę; 17.35 — „Wakacyjne przygody” — film radz.; 18.45 — Czwarta zmiana; 20.05 — „Rybacy z Yport”; 20.20 — Teatr Kobra; „Dr Morell”; 21.20 — Refleksje; 22.10 oraz 22.40 — Politechnika TV.

Piątek: 9.55 — Panorama (kl. II); 10.25 — „Alba Regla” — film; 15.30 — Miś stróżem Europy w koszykowie; Polska — Hiszpania (z Helsinek); 17.05 — Miś z okienka; 17.20 — Gorzkie jak jod; 17.50 — „Sąd ostateczny” — film pol.; 18.20 — Za kierownicą; 18.50 — Karykatury Sł. Mrowińskiego; 19.05 — Kurier Mazowiecki; 20.05 — Teatr TV; „Ziemia obiecana”; 21.35 — 10 minut recenzji; 21.45 — Magazyn med.; 22.35 oraz 23.05 — Politechnika TV.

Sobota: 9.55 — Strefy klimatyczne — roślinne Europy (kl. VII); 10.25 — „Czarny rynek w Paryżu” film franc.; 14.00 — „Tutaj wykuwa się talenty” (z Moskwy); 16.00 — Kurs rolniczy; 16.35 — Program tygodnia; 17.00 — Konkurs pięciu milionów; 18.00 — „Świat, który nie może zginąć”; 18.35 — Tele-echo; 20.10 — „To jest twój syn” — film pol.; 20.30 — Kabaret Jeremiego Przybory; 21.55 — „Czarny rynek w Paryżu” — film francuski.

Tym razem poszczęściło mi się. Kiedy dotarliśmy na miejsce licznik wskazywał równo 50 złotych.

Wyciągnąłem pieniądze, kierowca schował je do kieszeni i wyłączył licznik.

— Przepraszam za te drobne perypetie — powiedział z radosnym uśmiechem. — Ale za to wszystko jest w porządku. W żadnym wypadku nie pozwoliłbym sobie wziąć od pasażera o grosz więcej niż wskazuje licznik.

— Jestem panu bardzo zobowiązany. Ale jak mam się dostać na plac Zgody...?

— Zawiozę pana — powiedział kierowca i włączył licznik.

Po trzech minutach byliśmy na miejscu. Licznik wskazywał 9 złotych.

Szybko wyciągnąłem z kieszeni szczyryk i przyłożyłem ostrze do gardła kierowcy, poczem wsunąłem mu w rękę 10 złotych i wyskoczyłem z taksówki.

Spolszczyła O.L.

DLA KAŻDEGO COŚ DOBREGO



Wraz z nadejściem kalendaryjnej jesieni, nasze gospodarstwo Czytelniczki zaczyna już myśleć o swoich parasolkach.

JAK PRASOWAC?

„Wyjęłam swoją parasolkę z szafy i stwierdziłam, że jest tak pomięta, że wstyd będzie z nią chodzić. Jak ją prasować? — pyta Hania B.

Prawdopodobnie wystarczy jeden deszcz, a potem powolne wysychanie otwartej parasolki, aby wszystkie zgięcia się wyprostowały. Ale jeśli, droga Czytelniczko, chcesz już na pierwszy deszcz wyjść z piękną, nie pogniecioną parasolką, to zwilż ją wodą i pozostaw otwartą aż wyschnie.

Fachowcy od parasolek prasują kliny żelazkiem. Trzeba na desce do prasowania, lub na stole, ułożyć miękkie podkład z sukna albo koca, na to białe płótno i żelazkiem — o temperaturze dopasowanej do rodzaju tkaniny — prasować klin za klinem (oczywiście parasolka musi być otwarta). Po tej operacji zostawia się otwartą parasolkę przez trzy godziny, a potem starannie ją składa.

Jak składać parasolkę, aby uniknąć jej pogniecenia? Klina złożone na pół należy układać w jedną stronę. Zwykle układa się je w lewo, obracając równocześnie parasolkę w prawo. Dopiero wtedy, na równo i starannie złożone klina — można nakładać pokrowiec. Gdy parasolka wisi w domu, lepiej z niej pokrowiec zdjąć.

PRZYSZYWANIE PRĘTÓW

Każdy szew, łączący klina materiału, powinien być przyszyty do pręta w trzech

punktach. Zszycia te mają swoje ściśle określone miejsce: w środku między kolcem pręta a zawiasem (czyli miejscem, gdzie są tak zwane widelce, a więc druga, otwierająca parasol partia drutów). Drugie zszycie powinno być tuż przed zawiasem, a trzecie — w połowie długości pręta, między zawiasem a koronką, czyli miejscem, gdzie zbiegają się wszystkie pręty.

Każdy pręt powinien być przyszyty pojedynczą, grubszą nitką, którą obejmuje się pręt i przyszywa go do szwu,

uważając, aby igła nie przechodziła poza ścieg szwu, bo będzie widoczna po prawej stronie parasolki.

W prętach parasolek składanych, w zawiasach są specjalne otwory, służące do przyszywania prętów do szwów pokrycia.

MOCOWANIE ROGÓW

Dość często się zdarza, że pokrycie „ucieka” z kołców prętów. Przyszywa się więc róg materiału do pręta w miejscu, gdzie w przecie jest specjalnie do tego celu zrobiona dziurka (w odległości około 1,5 cm od czubka kolca). Trzeba szyć podwójną, mocną nitką uważając, by róg materiału przylegał ściśle do kolca. W czasie szycia parasol musi być lekko rozchyłony, ale nie całkiem otwarty.

Wymieniamy doświadczenia

„Mój mąż nosi do pracy przeważnie ciemne ubranie — pisze Eleonora B. — Mimo że ma tylko jeden garnitur, zawsze jest starannie ubrany. Codziennie czyszcze jego ubranie szczotką, a raz w tygodniu — po dokładnym oczyszczeniu z kurzu, przecieram kołnierz przekrojonym surowym ziemniakiem, następnie wilgotną i wreszcie suchą ściereczką.

Ponieważ spodnie deformują się najbardziej na kolanach, w tych miejscach zwilżam spodnie z lewej strony obficie wodą. Podkładam suche płócienko i rozpraszuję je po stronie prawej przez mokrą ściereczkę. Następnie prasuję całe spodnie również przez zaparzaczkę, uważając, aby kanty były we właściwym miejscu.”

„Jeżeli po uprasowaniu spodni zauważę, że miejscami błyszczą — pisze Wanda E. —

usuwam połysk przy pomocy mocnej herbaty. Tamponikiem lub szczotką maczaną w herbatce, przecieram raz po raz świeżące miejsca, następnie prasuję je przez zaparzaczkę, nie dopuszczając, aby całkowicie wyschła pod żelazkiem.”

„Aby mankiety spodni nie wycierały się zbyt szybko — pisze Zofia P. — niezależnie od tasiemki, którą są obszyte, przyszywam po wewnętrznych stronach nogawek dwa płaskie guziczki. Obuwie będzie się wtedy ocierało nie o materiał, lecz o guziczki”.

„Podaję sposób czyszczenia skórzanej kurtki, który stosuję z doskonałym skutkiem — pisze Urszula P. — Do naczynia z ciepłą wodą wstawiam blaszanek, do której wlewam olej rycynowy lub lniały (4 części np. łyżeczki), terpentynę (18 części), żółty воск (15 części) i kałafonie (1 część). Po dokładnym rozmieszaniu składników, nacieram powierzchnię skóry i poleruję do połysku. Kurtka wygląda jak nowa.”

„Mam niezawodny wypróbowany sposób czyszczenia sukienek z aksamitu — pisze E. O. — Nie czyszcze ich szczotką, lecz czystą, zwilżoną i dokładnie wyciśniętą gąbką. W czasie czyszczenia kilkakrotnie płuczę gąbkę.”

Po oczyszczeniu, aksamit można jeszcze odświeżyć podając go działaniu pary (np. nad czajnikiem lub innym naczyniem). Gdy materiał jest już nasiąknięty wilgocią, prasuje się go po lewej stronie, trzymając w powietrzu (konieczna jest tu pomoc drugiej osoby).

Autorkom porad dziękujemy i przesyłamy książki.

PIKANTNE przetwory



Zamiast przygotowywać rozmaite marynaty, Komitet Gospodarstwa Domowego radzi przyrządzać ostre, pikantne przetwory z owoców i warzyw, smaczniejsze i dużo zdrowsze od marynat.

Oto kilka przepisów:

Jabłka w pomidorowym sosie

3 kg pomidorów umyć, powykrawać piętki i plamy, podzielić na części, włożyć do grubego, emaliowanego garnka, zmiażdżyć drewnianym tłuczkiem, dodać pokrajaną cebulę. Obrąć jeden seler (około 30 dkg) i dodać do pomidorów. Przygotować przyprawy aromatyczne: 10 ziaren pieprzu zwykłego, angielskiego i białego, 3—4 liście bobkowe, 1 łyżeczkę papryki w proszku, 1—2 ząbki czosnku, sól, cukier do smaku. Włożyć do woreczka z gazy, owinąć, włożyć ten woreczek do miazgi, gotować jeszcze 10—15 minut.

Następnie przetrzeć masę przez perlonowe sito lub cedzak z małymi oczkami. Jeszcze raz włożyć do przelanej masy woreczek z przyprawami i podgrzewać około 10—15 minut.

Umyć 3 kg jabłek i po przekrojeniu na 4—6 części, usunąć gniazda nasienne.

Cząstki jabłek umieścić w wyparzonych słojach (weki, feniksy itp.), układając jabłka skórką na wierzchu i zalać przygotowaną wrzącą miazgą, uważając, by w słoju nie powstawały bąbelki powietrza. Brzegi słoja wytrzeć czystą ściereczką, zmoczoną w spirytusie salicylowym, nałożyć gumki snarżone w gorącej wodzie, nakryć pokrywkami i nałożyć klamki (sprężynki).

Słoje ustawić w kociołku o podwójnym dnie i zalać ciepłą wodą tak, aby nakryła ona słoje. Ogrzewać na wolnym ogniu przez 25—30 minut. Zestawić z ognia, zdjąć pokrywę i po 10 minutach ostrożnie wyjąć słoje, ustawiając je na rozpostartej ścierece.

Po ostygnięciu, zdjąć klamki ze sło, sprawdzić czy się zamknęły, przylepić nalepki z nazwą przetworu i datą. Przechowywać w chłodnym, ciemnym, suchym pomieszczeniu.

Gruszki w pomidorowym sosie

Podobnie przygotowuje się gruszki, z tą różnicą, że twardsze ich odmiany obieramy ze skórki i podzielone na półki lub ćwiartki (zależnie od wielkości), blanszujemy, to znaczy obgotowujemy przez 5—7 minut w lekko osłodzonej wodzie. Do sosu pomidorowego zaś — do woreczka z przyprawami, dodajemy jeszcze kilka goździków.

Węgierki w pomidorach

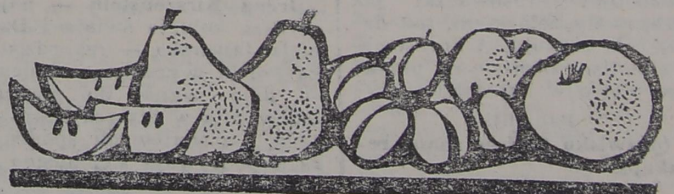
Zamiast jabłek czy gruszek, możemy przygotować przetwory z węgerek. Albo je ponakłuwamy wykalaczką, albo przecinamy nożem na półki, usuwając pestki. Lepiej śliwki drelować, gdyż bywają robaczyste. Do sosu, a raczej do przypraw w sosie, dodajemy goździki i — kto lubi — trochę cynamonu.

Gruszki lub jabłka w sosie pomidorowo-śliwkowym.

Jak poprzednio przygotowujemy przecier z półtora kilograma pomidorów oraz 1 kg śliwek (bez pestek). Do woreczka z przyprawami, prócz zasadniczych przypraw, dodajemy jeszcze: goździki, cynamon i parę listków mięty. Po przetarciu miazgi, uzyskamy około 1,75 litra przecieru. Znowu jabłka (3 kg) ze skórką, lub gruszki (3 kg) bez skórki, po usunięciu z nich gniazd nasiennych i po zbłanszowaniu umieszczamy w słojach, zalewamy przecierem i pasteryzujemy, jak to podaliśmy w pierwszym przepisie.

Z powyższych proporcji otrzymamy bardzo smaczne, pikantne przetwory (6—7 słoików półlitrowych), świetne jako dodatki do mięs, dań rybnych, z jaj, z drobiu, do wędlin itp. Tego typu przetworów nie ma obecnie w handlu, a więc tym bardziej warto je zrobić jako „specjalność domu”. Szczególnie, gdy ma się owoce czy warzywa z ogrodu lub z działki.

(IG.)



MACIA na co dzień

Jeżeli popękał sufit i powstały w nim szczeliny — można je zasklepić następującą masą: do rzadkiego kleju stolarskiego dosypuje się — ciągle mieszając — tyle mielonej kredy, aż powstanie gęsta papka. Papką tą zasklepia się szczeliny. Po dwóch dniach masa całkowicie wysycha.

Jeśli nad łóżkiem lub tapczanem powstały na ścianie tłuste plamy usuwamy je następująco: kawałek grubego miękkiego materiału nasączamy czystą benzyną i przykładamy go do zaplamionego miejsca jak kompres. Po dwóch-trzech minutach tłuszcz się rozpuszcza, szmatka go wchłania i ściana jest znów czysta.

Benzyna musi być oczyszczona. Można to sprawdzić, spuszczając kroplę na czystą kartkę. Jeżeli po wyschnięciu nie ma śladu, benzyna nadaje się do wywabiania plam ze ściany.

Niekiedy trudno jest odkręcić wieczko ze stoika, bo ręka się po nim ślizga. Wystarczy jednak położyć na wieczko kawałek papieru ściernego i przycisnąć go kolistym ruchem do zakrętki, a natychmiast ustąpi. Równie dobry skutek daje nałożenie na dłoń skórkowej rękawiczki, która lepiej przylega do wieczka niż skóra dłoni. Spróbujcie!

Dywany z ŻYWCA

Z ywiec leży nad rzeką Sołą, która owija go malowniczymi zakrętami. Miasto w dolinie zielonych pasm gór beskidzkich. Znanie turystom i miłośnikom folkloru, Żywiec drewnianych świątków, skocznych melodii i haftów, które podbijają serca zagranicznych gości.

Od 138 lat słynie także Żywiec ze swego piwa. Niedawno w Brukseli piwo żywieckie otrzymało złoty medal za swoją jakość. Od 130 lat robi

także karierę żywiecka biułka papierosowa „Solali”. Ale w Żywcu są również wytwórnie skromniejsze, zatrudniające mniejszą ilość pracowników. I choć w wielkich sklepach CPLiA zachwyca się ręcznie tkanymi dywanami, barwnymi kilimami — rzadko zwracamy uwagę na małą metkę „Pilsko” (nazwa „pożyczona” od pewnego beskidzkiego wzniesienia).

Na niskich ławach, twarzami do napiętych, biegnących pionowo nitk wielkiego krosna, siedzą kobiety. Szybкими ruchami wiążą na tych pionowych nitkach supelki z kolorowej wełny, obcinając końce wełny o dwa centymetry od supelki.

Co pewien czas rzucają okiem na różnokolorową mapę, przypiętą do krosna. Jest to rozłożony na drobne elementy wzór modelu, który tkają. Tak precyzyjną w doborze kolorów pracę można wykonywać tylko przy dziennym świetle.

Sprawna dywaniarka wiąże dziennie od 7 do 8 tysięcy węzłów, bardzo uzdolniona od 9 do 10 tysięcy.

Zaś jeden metr kwadratowy ręcznie tkanego dywanu zawiera od 40 do 42 tysięcy węzłów i kosztuje — jeśli

barwny — 1400 zł; jednokolorowy, łatwiejszy do wykonania — 1100 zł. Żywieckie Pilsko wykonuje rocznie 1800 metrów kwadratowych takich dywanów; w 1970 roku zamierza powiększyć produkcję do 3,5 tysiąca metrów kwadratowych. Te ręcznie tkane cuda wymagają specjalnej wełny z owiec górskich, odpowiednio skręconej i barwionej.

Choć drogie — żywieckie dywany mają powodzenie, są poszukiwane. Ich piękne desenie, projektowane przez artystów i ich trwałość (przy odpowiedniej pielęgnacji mogą „żyć” dłużej niż kilka ludzkich pokoleń), pozwalają sądzić, że będą to kiedyś cenne pamiątki narodowe. Dywany tkane ręcznie Pilsko wytwarza od 1950 roku.

W roku 1966 wytwórnia uruchomiła produkcję kilimów tkanych maszynowo. Na wewnętrznym konkursie CPLiA otrzymały one pierwszą nagrodę. W przyszłym roku produkcja kilimów powiększy się dwukrotnie. Pilsko zatrudni wtedy 30 nowych tkaczek. Dla powiększenia tej produkcji, adaptuje się dziś nowy budynek w pobliskiej wiosce.

Jest w Pilsku jeszcze jedna dziedzina produkcji — żywieckie koronki na tiulu. Chałupniczki hafciarki pilnie strzegą, by ani jeden, najdrobniejszy nawet motyw nie został powtórzony, bo jeszcze by mógł ktoś pomyśleć, że to haft maszynowy.

A to dla ambitnych twórczyni ludowych — wstyd. H. B.

Temperówka

M ATKA Krysi wyszła za mąż za Leonarda J. gdy dziewczynka miała dwa lata. Murarz z zawodu, nie stroniący od alkoholu, od pierwszej chwili zapalał niechęcią do dziecka. Bił je z łada powodu. Dla swoich dzieci potrafił być łagodny. Prawdziwe jednak piekło nastąpiło, kiedy Krysia poszła do szkoły. Ojczym — postanowił, że będzie pilnował jej podczas przygotowywania lekcji. Pilnowanie polegało na tym, że stał za nią i bił za każdy popełniony błąd ortograficzny, za każdą pomyłkę w czytaniu. Sporządził specjalną dyscyplinę, którą karmił dziewczynkę. Posłużyła ona również jako dowód rzeczowy w sprawie. Jest to istny bykowiec.

A matka dziecka? Czasami usiłowała protestować; bała się jednak męża, bo na nią wtedy również spadały razy.

Nie wiadomo jak długo trwałaby jeszcze gehenna dziecka, gdyby pewnego dnia wychowawczyni nie zauważyła, że Krysia siedzi w klasie sama, gdy inne dziewczynki ćwiczą w sali gimnastycznej.

— Dlaczego nie poszłaś na lekcję? — spytała nauczycielka.

— Dziewczynki by się ze mnie śmiały.

— Dlaczego? — zdziwiła się wychowawczyni.

Wtedy Krysia rozplakała się. Nie można jej było uspokoić, więc wychowawczyni zaprowadziła dziewczynkę do gabinetu lekarskiego. Tam wyszła na jaw cała prawda: lekarz stwierdził ślady uderzeń. Jeszcze tego dnia skierowano sprawę do prokuratora.

Na rozprawie Leonard P. przyznał się tylko częściowo do popełnionych czynów.

— Dawała mi powody, prosił wysokiego sądu — mówił. — Pisała niegramatycznie, nie umiała tabliczki mnożenia, ostatnio faktycznie zbilem ją bardzo mocno, ale wyszedłem z nerw, kiedy zgubiła temperówkę od babci — mojej mamusi...

Najbardziej charakterystyczne jest zakończenie zeznań oskarżonego:

— Nie zastanawiałem się, że będzie miała aż tak widoczne ślady...

Matka Krysi, zamiast stanąć w obronie dziecka, rzekła się zeznań. To wywołało oburzenie.

Matkę wyręczyła ciotka dziewczynki, która była raz świadkiem maltretowania dziecka:

— Kiedy weszłam, Leonard trzymał Krysię za głowę i uderzał nią o stół. Gdy zwróciłam mu ostro uwagę, oświadczył, że chce, aby dziewczynka przypomniła sobie tabliczkę mnożenia.

Na wniosek adwokata oskarżonego, powołano biegłych sądowych dla zbadania stanu poczytalności oskarżonego. Stwierdzili, że w chwili popełniania swoich czynów doskonale sobie zdawał sprawę z tego co robi.

Sąd skazał Leonarda P. na pięć lat więzienia.

*

Obecnie Krysia przebywa w Domu Dziecka. Dziewczynka przeszła do trzeciej klasy i uczy się dobrze. Gdy na święta matka prosiła, aby córkę wydano do domu, dziewczynka błagała, aby mogła pozostać w Domu Dziecka. — Mama mnie nie kocha, nie broniła mnie, jak tatuś mnie bił — powiedziała.

IRENA SCHULTZ

Piszą do nas

BRUDNY SKLEP

Trudno było przejść obok sklepu PSS nr 92 w Pruszkowie. Wokół rozchodził się okropny zaduch. Roje much, stado kotów i dodatkowa „atrakcja”: co pewien czas wyrzucano ze sklepu, wprost na ulicę, cuchnące dorsze.

Nie pomagały skargi mieszkańców pobliskich domów, wnoszone do dyrekcji PSS w Pruszkowie. Dyrekcja nie zrobiła nic, żeby poprawić warunki sanitarno-higieniczne, zlikwidować niedopuszczalną niedbałość kierownika sklepu.

Wtedy sąsiedzi cuchnącego sklepu napisali do naszej redakcji. Zaalarmowaliśmy Wydział Przemysłu i Handlu PRN w Pruszkowie. Po zbadaniu sprawy postanowiono: „Zarządzić remanent zdawczo-odbiorczy i wyciągnąć wnioski w stosunku do byłego kierownika, za doprowadzenie sklepu do stanu antysanitarnego”. (hm)

PRALNIA W SZPITALU

Byłam pacjentką szpitala przeciwgruźliczego w Piaszkach. Tam właśnie przeczytałam artykuł „Bomba pękła” (nr 31 „Przyjaciółki”). Dotyczył on skandalicznych warunków BHP w pralni jednego ze szpitali w Katowicach. Owa „Bomba” była szeroko komentowana w Piaszkach. Ponieważ byłam przypadkowym świadkiem rozmowy personelu w moim szpitalu, zainteresowałam się bliżej sprawami poruszonymi w rozmowie. Na własne oczy widziałam, że kobiety w pralni i tu pracują bez obuwia ochronnego, bo gumki, które otrzymały są tak twarde, wysokie i szerokie, że można w nich... utonąć, ale nie można nosić ich na co dzień. Pracówki niszczą swoje sukienki, bo o fartuchy nie mogą się doprosić.

Pralnię wybudowano kosztem wielu tysięcy złotych. Posiada elektryczną prasownię, ale — w charakterze „ozdoby”. Prasowaczki jak prasowały żelazkiem, tak dalej nim prasują. A uprasowaną bieliznę nosi się na pierwsze piętro w koszach.

Pacjentka (nazwisko i adres znane redakcji).



Fot. Jerzy Dąbrowski

CZTEROBÓJ PRZYJAŹNI

Skok w dal, wzniość, bieg na 60 metrów, rzut piłeczką... Na boisku szkoły nr 11 w Tomaszowie Mazowieckim — uroczystość. Najpierw defilada nastolatków (na zdjęciu), potem zawody lekkoatletyczne, inaugurujące XIII Czerobój Przyjaźni.

Irena Kirszenstein — najszybsza kobieta świata i Daniela Jaworska — rekordzistka Polski w rzucie oszczepem — dają sygnał do startu. Dziewczęta w białych koszulkach, granatowych spodenkach podrywają się, biegną...

Czym jest Czerobój Przyjaźni? Piękną imprezą sportową, organizowaną od 1955 roku przez redakcję „Świata Młodych”. Ponad 9 milionów dzieci ze szkół podstawowych z dziesięciu krajów ćwiczy na boiskach, w salach gimnastycznych, startuje w zawodach. Są to dzieci z ZSRR, NRD, Polski, Bułgarii, Rumunii, Węgier, Francji, Finlandii, Mongolii. Z Polski — ponad półtora miliona uczniów.

Zawody odbywają się najpierw w każdym z uczestni-

czących krajów, potem — za granicą. Ostatnio, w 1967 roku, zorganizowano je w Budapeszcie, na Wyspie Małgorzaty. Z Polski wyjechała drużyna szkoły nr 11 z Tomaszowa Mazowieckiego, która zwyciężyła w finałach krajowych. W zawodach na Węgrzech zajęła piąte miejsce.

Jaki jest cel pięknej imprezy „Świata Młodych”? Chodzi przede wszystkim o podnoszenie poziomu sportowego dzieci. Sprawa, która nie może być obojętna dla rodziców, jak bowiem wiadomo — ściśle wiąże się z prawidłowym rozwojem fizycznym dzieci.

Organizatorom czeroboju

chodzi także o wyrobienie postawy sportowej młodzieży. Sport — to szkoła charakteru, nauka czystej, ale upartej walki, umiejętności wygrania i... przegrzania, wytrwałości, ambicji. Przy tym czerobój jest piękną formą wychowania międzynarodowego, daje możliwość nawiązywania kontaktów między młodzieżą różnych krajów.

13.620 polskich szkół bierze udział w czeroboiu. Zwiększenie tej liczby, spopularyzowanie imprezy wśród młodzieży — leży w interesie dzieci i rodziców.

H. POL

Czytelniczy pisał „Przyjaciółka” odpowiada

Miedzy nami

KANDYDAT NA TATE

MATKA pisze: „Przyjaciółko! Mam 32-letnią córkę. Jest wdowa, mąż zginął w wypadku drogowym w kilka lat po ślubie. Dzieci nie mieli, choć córka o nich marzyła.

Córka miała potem kilku kandydatów, ale nie odpowiadali jej, bo najważniejszą dla nich sprawą była wódka, karty itd.

Rok temu poznała wdowca z dwojgiem dzieci. Sympatyczny, dobrze wychowany, kulturalny. Dla mnie także serdeczny i uważający. Dbą o swoje dzieci, zabiega o ich postępy w szkole i wychowanie. Kochający ojciec, a więc zapewne dobry, solidny, odpowiedzialny człowiek.

Córka nie nie mówiła mu o marzeniach o własnym dziecku. Uważała za rzecz normalną, że kobieta, gdy decyduje się na założenie rodziny, pragnie je mieć. Przypadkowo doszło do rozmowy na ten temat. Wtedy narzeczony zaczął namietnie przekonywać córkę, że nie warto, że dziś dzieci są niewdzięczne i niedobre; że jest już za stary (42 lata) na małe dziecko, że nie zdąży go wychować, że nie ma siły ani cierpliwości do pieluch, bezsensownych nocy i hałasów. Mówił też, że bardzo córkę kocha, ale dziecko kosztuje, a nie ma dość pieniędzy na potrzeby i tak już licznej rodziny.

Córka doszła do wniosku, że narzeczony tylko udawał zakochanego, a tak naprawdę, to chodziło mu o pomoc w domu i szukał głupiej, która swoim zarobkiem przyczyniłaby się do dobrobytu jego dzieci.

Na razie przesuneli termin ślubu. Córka jest rozczarowana. Waha się, straciła ochotę do małżeństwa. Pyta matkę, czy ja naprawdę nie wiem, co radzić... Czy mogę namawiać ją do łaczenia się z tak wyrachowanym egoistą? A odradzać?... Córka nie jest już taka młoda, ani specjalnie nrodziwa, może w ogóle już innego kandydata nie znajdzie...

Droga Czytelniczko! Czy rzeczywiście narzeczony Twojej córki jest wyrachowanym egoistą? Spróbuj wczuć się w jego sytuację. Nie jest człowiekiem pierwszej młodości. Jako wdowiec łączy obowiązki ojcowskie i macierzyńskie i zapewne czuje się nimi znudzony. Czy można tak całkowicie potępiać go za to, że boi się kłopotów związanych z nowym dzieckiem?

Twoja córka czuje się rozczarowana. Ale, Droga Czy-

telniczko, czy wychodził się za mąż tylko po to, by zdobyć sobie ojców dla upragnionego dziecka? Ludzie pobierają się, ponieważ żywią dla siebie coś więcej niż sympatie, pragną przebywać ze sobą pod jednym dachem, oddaleniu — tęsknią do siebie. Gdyby tak właśnie kształtowały się uczucia między Twoją córką a jej narzeczonym — nie wahałaby się wyjść za niego, bez względu na różnicę zdań w sprawie powiększenia rodziny. Może zresztą z biegiem czasu zdecydowałby się na trzecie dziecko.

I jeszcze jest jedna sprawa: jak ustosunkuje się Twoja córka do tych dwojga sierot, którym ma zastąpić matkę? Przecież one też potrzebują serdecznej opieki, macierzyńskiego serca. Z tego, co piszesz, na pierwsze miejsce wysuwa się nie egoizm narzeczonego córki — ale raczej jej. Myśli tylko o swoim marzeniu, o własnym dziecku, a nie zastanawia się nad obowiązkami, jakie przyjmie na siebie, zawierając małżeństwo. Pomów z nią o tej sprawie.

Rodzice i dzieci

WOREK CZY TECZKA

MALGORZATA pisze: „Jurek zdążył wywołać w domu konflikt zanim jeszcze rozpoczął się rok szkolny. Jest już w ósmej klasie, więc chcieliśmy mu kupić przyzwoitą teczkę. — Nie będę nosił teczek, chciałbym mieć worek na książki — oświadczył stanowczo. Nasze tłumaczenia, że teczka wygląda porządniej i bardziej elegancko niż worek — nie docierały do niego. Głównym jego argumentem było to, że wszyscy jego koledzy noszą książki w worku a teczek są niemożliwe.

Po długiej awanturze — ustąpiłam. Kosztowało mnie to jednak dużo zdrowia. Myślę, że powinnam była postawić na swoim. Czternastoletni musi przecież słuchać rodziców.

Droga Czytelniczko! Młodzi w wieku Jurka bardzo nie lubi podporządkowywać się rodzicom. Dlatego dość łatwo o „wojny domowe”. Aby ich uniknąć nie należy przywiązywać zbyt wielkiej wagi do spraw błahych. Problem worek — czy teczka nie był wart tego, aby szarpać sobie nim nerwy. Jeśli Jurkowi bardziej zależało na worku, słuszniej było mu ustąpić. Zaoszczędziłabyś sobie nieco zdrowia, a przy tym Jurek byłby ci wdzięczny za zrozumienie dla jego spraw. Musisz się też

liczyć z tym, że w tym wieku (13—16 lat) młodzież przywiązuje ogromną wagę do opinii swego środowiska, stara się dostosować do aktualnie panującej w tym środowisku mody. I nie na to nie poradzisz. Tylko taktownym i życzliwym podejściem możesz nieco łagodzić jakieś dziwactwa tej mody.

Lekarz odpowiada

ZMIJA

HANNA pisze: „Droga „Przyjaciółko! Jestem ogromnie zmartwiona. Podczas wakacji na wsi poszliśmy z dwojgiem dzieci i pieskiem do lasu. Zbieraliśmy jagody na wyrębie, dzieci hasały po krzakach, a piesek biegał. Nagle usłyszałam pisk psa. Z początku nie zwróciłam na to uwagi, tym bardziej że wszystko się uspokoiło. Gdy zaczęliśmy się zbierać do domu, okazało się, że psa nie ma. Szukaliśmy go wszędzie i znaleźliśmy nieżywego. Nie znaleźliśmy żadnej rany, żadnego ugryzienia. Trochę plany na pyszczku i to wszystko. Pomijając, że bardzo nam szkoda zwierzęcia, nie mogę sobie wyobrazić, co by było, gdyby to samo spotkało któregoś z dzieci. Rozmawiałam z miejscowym lekarzem weterynarii — przypuszcza, że żmija ugryzła psa w pyszczek, dlatego tak szybko zginął. Co robić, aby zabezpieczyć się przed ukąszeniem żmii — czy nie chodzić do lasu? Moja siostra jest obecnie na wczasach w lesistej miejscowości, a ja ciągle się o nią niepokoję”.

ODPOWIADA INTERNISTA

Droga Czytelniczko! Rzeczywiście spotkał Cię niezwykły przypadek. Prawdopodobnie przyczyną padnięcia zdrowego psa było ukąszenie jadowitej żmii. Psy wiejskie nie atakują nigdy naturalne instynkty zanikły, gonią wszystko, co się rusza. Żmija nigdy sama nie atakuje. Ugryzienia zdarzają się wtedy, gdy przypadkowo się na nią nadeptnie, trąci itp.

Zwykle wiadomo, w którym lesie trafiają się jadowite gady i wówczas trzeba zachować ostrożność i chodzić do lasu w gumowych butach.

Jeśli jednak zdarzy się wypadek i żmija ukąsi człowieka w nogę lub rękę, należy założyć opaskę uciskającą powyżej ukąszenia i jak najszybciej przetransportować ugryzionego do szpitala, ośrodka zdrowia lub apteki.

Wysysanie ranki jest niebezpieczne ze względu na możliwość wprowadzenia jadu do krwi. Zdarza się to wówczas, gdy ten kto wysysa — ma rankę w ustach, lub uszkodzony ząb. Wszystkie apteki są w posiadaniu surowicy przeciw jadowi żmij apolitycznych w Polsce.

Na szczęście żmij jest w ogóle nieduża. Ludzie często za żmiję biorą nieszkodliwą, a nawet pożyteczną padalce lub zaskrońca (żmija ma na grzbiecie ciemną pręgę). Wypadki ukąszeń zdarzają się bardzo rzadko. Rezygnować ze spaceru po lesie nie trzeba, lecz zawsze należy zachować ostrożność.

Porady prawne

ZWOLNIENIE OD OPŁAT

JÓZEF P. Z KATOWIC pisze: „Jestem inwalidą, nie opuszczam domu i jedyny mój kontakt ze światem to radio. Słyszałem, że mogę zostać zwolniony z opłaty radiowej. Gdzie w związku z tym należy się zwrócić i jakie dokumenty powinienem przedstawić, aby uzyskać zwolnienie?”

Drogi Czytelniku! W dniu 1 sierpnia 1967 roku weszło w życie zarządzenie Nr 39 Ministerstwa Łączności, z dnia 31 maja 1967 (zamieszczone w Dzienniku Łączności Nr 12, poz. 93), które ustala że:

1. Zwolnia się z opłat za używanie radioodbiorników i odbiorników telewizyjnych oraz urządzeń radiofonii przewodowej — inwalidów wojennych i wojskowych, oraz inwalidów I grupy, jeżeli oprócz zaopatrzenia pobieranego z funduszy społecznych nie mają innych źródeł dochodów.

2. Niewidomych inwalidów wojennych i wojskowych oraz inwalidów I grupy — zwolnia się od opłat wymienionych wyżej bez względu na stan majątkowy.

3. Od opłat za używanie odbiorników radiofonicznych i urządzeń radiofonii przewodowej zwolnieni są ponadto, bez względu na stan majątkowy, niewidomi, nie będący inwalidami I grupy, których ostrość wzroku nie przekracza 15 procent.

Zwolnienie od opłat następuje po okazaniu dokumentów:

1. Przez inwalidów wojennych i wojskowych: a) legitymacji inwalidy wojennego lub wojskowego, b) oświadczenia na piśmie, że poza rentą nie mają innych źródeł dochodów;

2. przez inwalidów I grupy: a) decyzji ZUS lub PKP zawierającej postanowienie o uznaniu za inwalidę I grupy, b) oświadczenia na piśmie, że poza rentą nie posiadają innych źródeł dochodów;

3. przez niewidomych — legitymacji Polskiego Związku Niewidomych lub świadectwa lekarskiego, wydanego przez Komisję Lekarską do spraw inwalidztwa i zatrudnienia, stwierdzającego u niewidomego ostrość wzroku nie większą niż 15 procent.

Formalności związane ze zwolnieniem od opłat załatwia się w placówce pocztowej, właściwej ze względu na miejsce zamieszkania.

Wypada nie wypada

WIESŁAWA: „Co powiedzieć chłopcu, który dziękuje mi za kwiaty, chociaż były przeznaczone nie dla niego, lecz dla jego matki? Ja również powiedziałam „dziękuję”, czy słusznie?”

Niezupełnie. Stosowniej byłoby nie dziękując, powiedzieć po prostu, że kwiaty przeznaczone były dla matki.

JAN: „Czy wchodząc do sklepu powinienem zdjąć z głowy ochronny kask motocyklowy? Brat twierdzi, że wypada go zdjąć”.

Niekoniecznie. Jeżeli Ci nie ciąży zbyt i wstępujesz tylko na chwilę do sklepu — nie warto go zdejmować. I nikogo nie powinno to razić.

CZESŁAW: „Od czasu, kiedy zacząłem pracować w urzędzie pocztowym, sąsiedzi proszą mnie o nadanie listów, o zapłacenie raty za telewizor, o wpłatę na PKO. Jest to dla mnie bardzo uciążliwe, bo zajmuje wiele czasu, a przecież mam swoją określoną pracę. Czy wypada im odmówić? Mam 20 lat.”

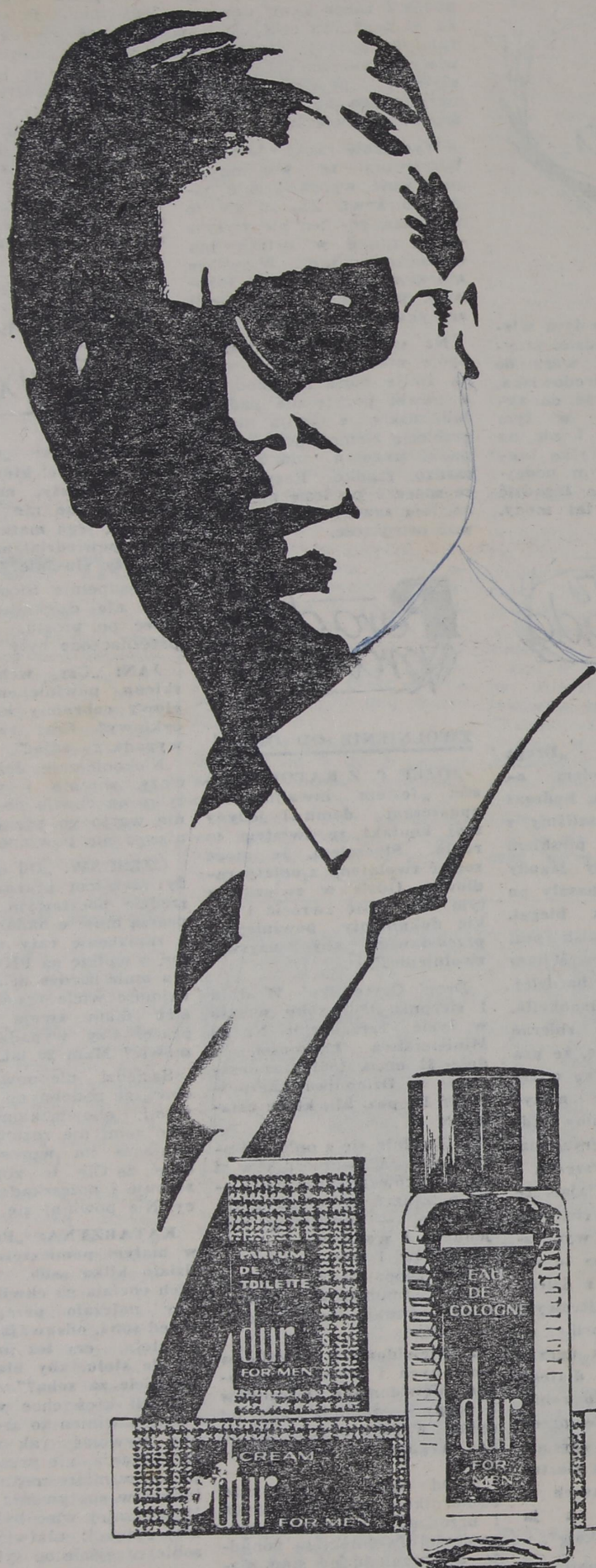
Sąsiedzi nie powinni Cię obarczać podobnymi dodatkowymi obowiązkami. Jeżeli tego sami nie rozumieją, powinieneś im wprost powiedzieć, że Cię to zbyt absorbuje i przeszkadza w pracy. Nie powinni się obrazić.

KATARZYNA: „Przy stole w małym pomieszczeniu siedziało kilka osób. Jedną z nich chciała na chwilę odejść. Czy należało przepuścić ją przed sobą, odsuwając krzesło od stołu, czy też przysiadła się do stołu, aby ułatwić jej przejście za sobą?”

Jeżeli ktoś chce wstać od stołu, powinien to zrobić tak, aby wywołać jak najmniej zamieszania, nie przeszkadzając — w miarę możliwości — innym w spożywaniu posiłku. Najśluszniej więc było w takiej sytuacji ułatwić tej osobie przejście od tyłu.

HALINKA: „Jak powinnam się zachować, gdy moja była sympatia idąc z moją następczynią (z moją koleżanką) kłania mi się? Odpowiedzieć na ukłon, czy też nie zwracać na niego uwagi? Koleżanka twierdzi, że nie powinienam odpowiadać na ukłon i w ten sposób pokazać, że mi na nim, ani na jego ukłonach nie zależy”.

To że kolega chodzi teraz z inną dziewczyną, nie znaczy, że przestał być Twoim znajomym. Powinnaś więc odpowiadać na jego ukłony. Twoje koleżanki fałszywie rozumują. Nie odpowiadając na ukłon, właśnie akcentujesz, że czujesz się głęboko dotknięta.



TYPOWO PO MĘSKU...

ELEGANCKI, DBAJĄCY O SIEBIE PAN, UŻYWA DO OSOBISTEJ PIELĘGNACJI DOBRYCH, WYSOKIEJ JAKOŚCI KOSMETYKÓW.

„DUR FOR MEN” — to wykwinna seria kosmetyków męskich, firmy BERLIN KOSMETIK. Ta nowa seria zawiera wodę do golenia, krem, sztyft dezynfekcyjny, płyn do włosów, wodę kolońską i perfumy, a więc wszystko co jest niezbędne do całodziennego pielęgnacji. Zaletą serii „DUR” jest jednakowy zasadniczy zapach. Ten ostry, orzeźwiający, klasyczny, a zarazem wykwinny zapach odpowiada nowoczesnym wymogom, stawianym tego rodzaju kompozycjom, na rynku światowym.

Zwracacie się o prospekty i oferty

Informacje eksportowe:

Deutscher Innen- und Aussenhandel Chemie
1055 Berlin, Storkower Strasse 133
Telex: 011 2171 diae dd
Niemiecka Republika Demokratyczna

O-295



DO MYCIA
DO KAPIELI
IDEALNE
MYDŁO TOALETOWE

„FILODERMA”

wysokogatunkowe, przetłuszczone o przyjemnym i trwałym zapachu, zalecane szczególnie dla cer delikatnych.

Producent:

Lechia

Poznań O-429

ZASADNICZA SZKOŁA GÓRNICZA KOPALNI „JANINA” W LIBIAŻU, pow. Chrzanów, ogłasza dodatkowe

WPISY na rok szkolny 1967/1968 do klasy pierwszej.

Warunki przyjęcia: ukończenie 15 lat, ukończenie szkoły podstawowej 8-klasowej (lub 7-klasowej w latach poprzednich), zaświadczenie lekarskie o przydatności do zawodu.

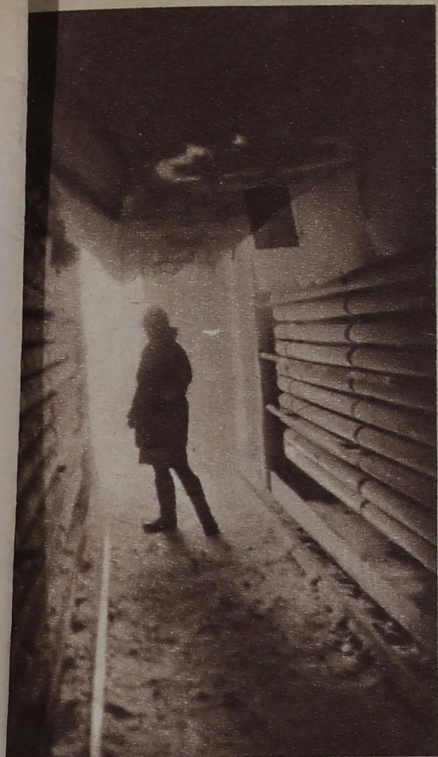
Z tytułu uczęszczania do szkoły uczniowie otrzymują: pomoc materialną w gotówce wynoszącą miesięcznie — 400 zł w kl. I, 500 zł w kl. II, 700 zł w kl. III, umundurowanie, ekwiwalent pieniężny za 2 tony węgla rocznie, premie w wysokości do 25 proc. stawki miesięcznie. Pozamiejscowym zapewnia się odpłatnie utrzymanie w internacie szkolnym.

O-588

DZIAŁ ZAGADEK

ZAGADKA

1	t	2	l	3	k	4	t	5	R	6	s							
	o		e		r		o		u		z							
7	r	8	a	n	9	i	e	10	s	t	11	o	5	12	l	u	13	p
	a		m		m			14	x	o	r			15	e	m	a	
16	x		o	d		d			o		g			b			l	
	e			17	r	z	e	18	p		19	h	a	z	u	a	n	a
	r				u			20	h	a	t			m				o
	a			21	t	e	s	t				22	r	y	m	a	r	z



Choć jest upalne, sierpniowe południe — kobieta, którą widzicie na zdjęciu obok, nosi barani kożuch i ciepłe walonki. W komorze panuje bowiem tęgi mróz: -34°C . Pracownicy przebywają tu króciutko: wsuwają tylko wózki z przeznaczonymi do zamrożenia owocami i jarzynami.

Po zamrożeniu, owoce wędrują do komór magazynowych. „Hortex” w Górze Kalwarii ma sześć takich komór. (Fragment jednej widzicie na zdjęciu u dołu). Każda jest czteropiętrowej wysokości, a ich łączna powierzchnia wynosi kilka tysięcy metrów kwadratowych. W komorach także zimno (-22°C). Owoce i jarzyny przebywają tu jakby w poczekalni. Przyjdzie moment, w którym zostaną przebrane, oczyszczone i odpowiednio zapakowane — pojadą w daleki świat.



Trafiliśmy do „Hortexu” w... sezonie ogórkowym. Ogórki średnie, duże i małe... Połyskują nożyki, zielone skórki wpadają w drewniane tace...



CZĘŚĆ II. „ONA”: To co ich dzieli — to przede wszystkim poglądy na życie. U dołu: Florencja — jest miastem, gdzie Françoise szczególnie chętnie przebywa.

Żeńskie

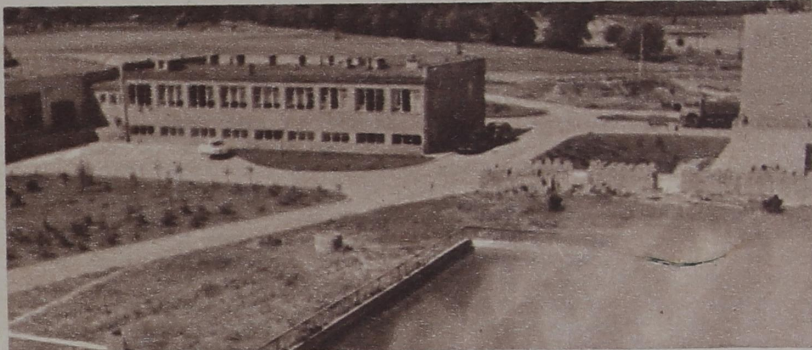
W filmie Cayatte'a to co różni bohaterów, co rozkłada ich małżeństwo — to inne poglądy na życie. Jean-Marc (mąż) do czego innego przywiązuje wagę, Françoise znów do czego innego. Przyjmując „on” uważa, że jego model życia jest jedynie właściwy i żona winna się do niego dostosować. Françoise natomiast broni swojej niezależności. Jest nowoczesną kobietą. Pracuje, i to pracuje dobrze, zarabia więcej od męża. Podróże, poznaje różnych mężczyzn. Jean-Marc jest zazdrosny. O wszystkim: o pieniądze, o uznanie, o innych mężczyzn. Trzeba przyznać, że reżyser stara się być obiektywny. Zarówno o męża jak i żonę pozbawiona jest jakichś ordynarnych paści na współmałżonka, czy gwałtownych oskarżeń. Wprost przeciwnie: Jean-Marc twierdzi do końca, że kocha żonę. Ona znów wodzi, że nie było i nie będzie jej życia innego mężczyzny niż Jean-Marc. Właściwie oboje nie bardzo wiedzą, dlaczego się rozdają. To my, widzowie, mamy być od nich mądrzejsi i po wysłuchaniu z obu stron — wiedzieć dokładnie, kto to jest z tym małżeństwem. Nie stawiając „kropki nad i” nie wyrokując, reżyser wciąga nas tym samym w wir dyskusji.



I to jest właśnie ogromna zaleta filmu, że zmusza każdego z widzów do osobistego zaangażowania się, zastanowienia nad losem tych dwojga i... także trochę nad własnym.

Bo, jak powiedział jakiś filozof: „Małżeństwo — to straszna rzecz. Ale nikt nie wymyślił nic lepszego”.

ZOFIA KREUTZOWA

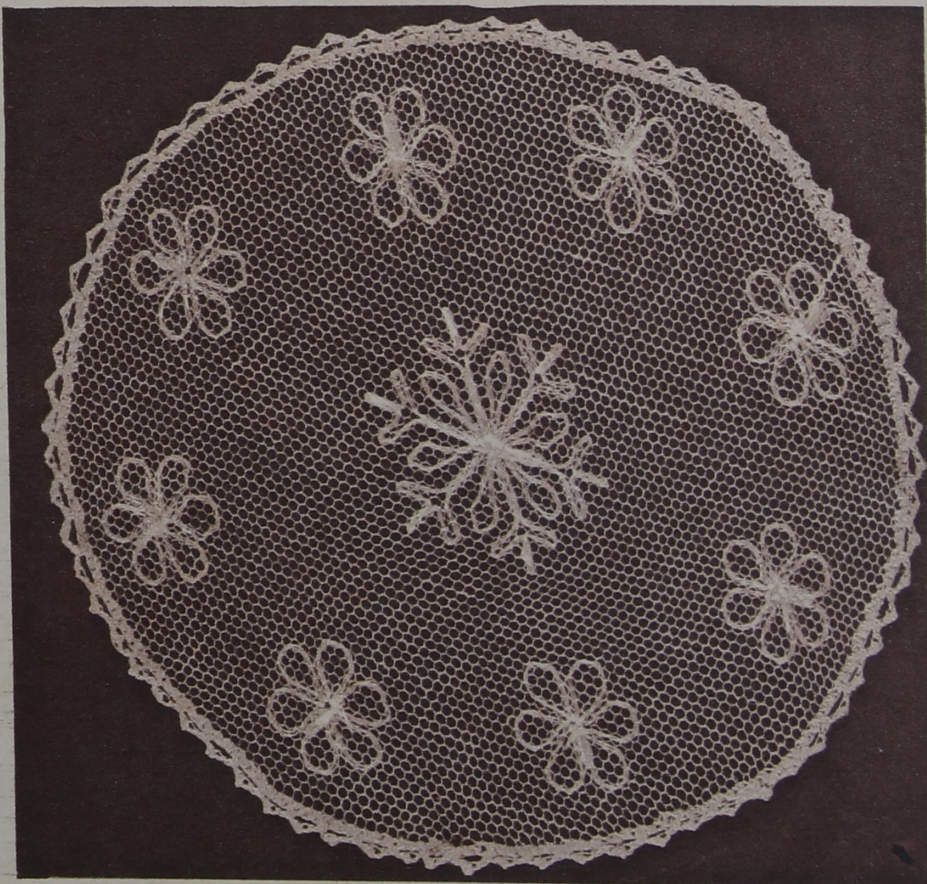


Tysiące drobnych kropelek tworzą nad tym basenem wodne welony. W słoneczne dni — jak na niebie — kładzie się na nich kolorowa tęcza. Piękne to, ale nie do ozdoby służy. Basen ma także znaczenie przemysłowe.

TIULOWE SERWETKI

Na serwetki najbardziej nadaje się tiul biały o średnich oczkach, lub średni tiul bieleżniawy. Na kawałku tiulu o odpowiedniej wielkości odrysowujemy wzór haftu, następnie poszywamy go muliną. Poszywając tiul po oczkach grubszych, bierzemy całą grubość pasemka; przy oczkach drobniejszych — użyjemy muliny w pasemku nr 5. Brzegi serwetki dziergamy dwiema nitkami, podkładając pasemko muliny i naddając je w formie pętelek, tzw. pikotek.

Po skończeniu odcinamy niepotrzebne części tiulu i prasujemy serwetkę po stronie lewej.



Historycy długo wiedli spór, czy barok to nowy styl w sztuce, czy też „zepsuty renesans”. Spory dotyczyły także nazwy. Jedni wywodzili ją od słowa „barocco”, oznaczającego surową perłę o nieregularnym kształcie. Inni uważali, że jest to określenie wszystkiego, co dziwaczne, brzydkie i wynaturzone. Dopiero w XIX wieku zgodzono się, że barok nie jest ani „dziewiczalnym” renesansem, ani zaprzeczeniem pojęcia o pięknie. Jest po prostu inny.

Kolebką baroku był Rzym. Zmiany w sztuce nie nastąpiły jednak nagle. Szlachetna prostota i umiar renesansu ustępowały zwolna przed dążeniem artystów do coraz większej wspaniałości, dekoracyjności, przepychu w architekturze, a wyrazistości w rzeźbie. Nowe posągi ukazywały człowieka w ruchu, w napięciu, walce, albo omdlewającego w ekstazie, konającego z bólu i męki.

Barokową rzeźbę w pełni rozkwitu reprezentuje wielki artysta włoski — Giovanni Lorenzo Bernini (1598—1680). Jego dzieła, to kute w marmurze sceny religijne, ołtarze, nagrobki, popiersia. Sie-

gał także po tematy do mitologii greckiej i do Biblii. Berniniego posąg Dawida (jakże odmienny od Dawida Michała Anioła!) zawiera już najistotniejsze cechy barokowej rzeźby. Twarz młodzieńca wykrzywiona jest nienawiścią i gniewem. Ciało wygięte niby napięty łuk, mięśnie naprężone. Całość to symbol siły, namietności, zapamiętania się w walce. Ruch, niepokój i gwałtowny gest znamionują także scenę z mitologii, wyobrażającą porwanie bogini Prozerpiny przez Plutona, boga podziemi i ciemności.

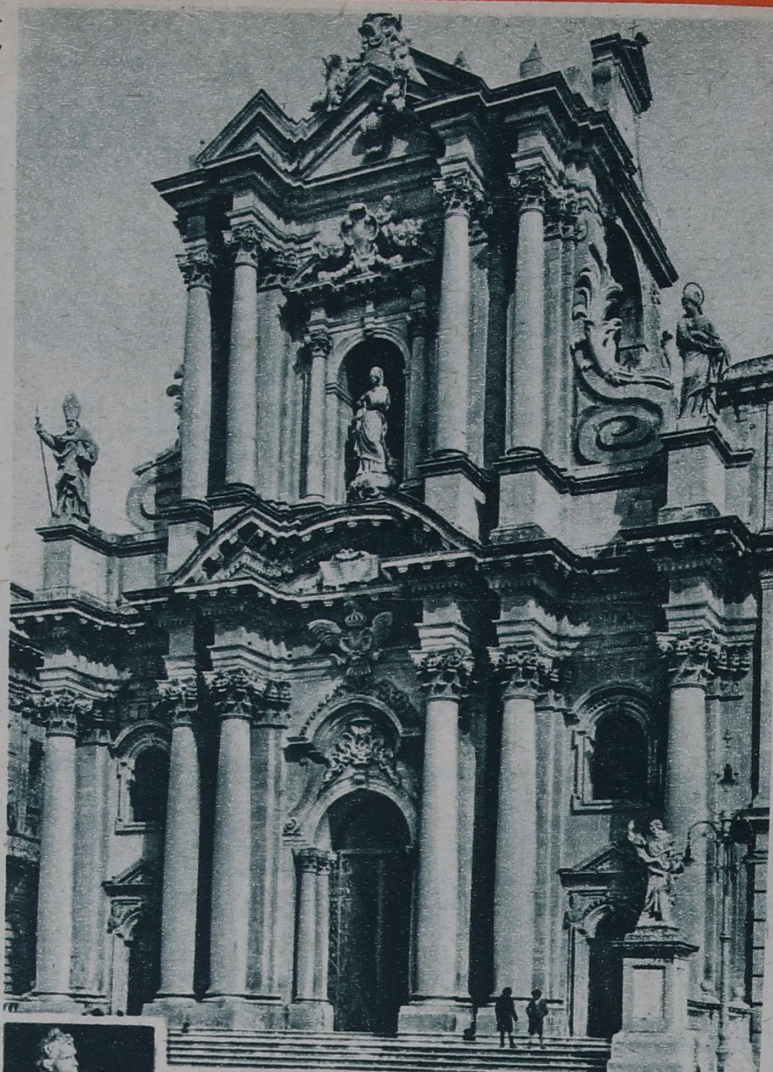
Bernini przysłużył się również Rzymowi jako architekt. Zaprojektował wspaniałe place o rozległej perspektywie, dał bogatą oprawę kolumnową bazylice św. Piotra, ozdobił wnętrza wielu kościołów.

Architektura baroku zabłysła najpełniej w budownictwie kościelnym. Był to bowiem okres wzmożonej walki kościoła katolickiego z reformacją. Budowano wiele nowych świątyń, których przepych i wspaniałość chciano przeciwstawić surowym protestanckim zborom. Otrzymywały więc kościoły barokowe przebogate fasady, pełne

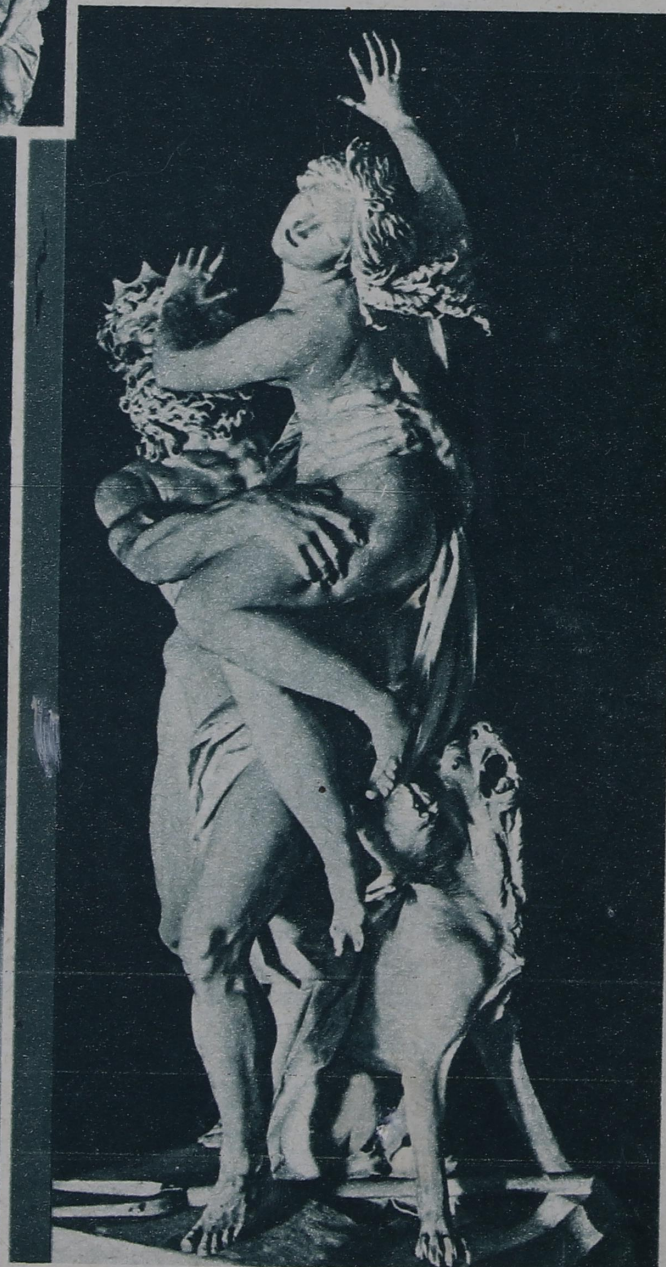
rzeźbiarskich ozdób, kolumnienek, pilastrów, załamanych gzymsów, przerywanych łuków, esownic, wnęk, posągów. Wspaniałej fasadzie odpowiadały wnętrza, gdzie złoto dekoracji kontrastowało z bielą i czernią marmuru, a światło nad głównym ołtarzem z mrokiem bocznych kaplic.

Budownictwo świeckie tego okresu, to przede wszystkim magnackie pałace, wspaniałe, obszerne siedziby, otoczone rozległym parkiem, pełnym fontann, sadzawek i posągów. Wnętrza zaś przypominały złożone puzzle, tyle w nich było ozdób, wykonanych głównie ze stiuku (mieszanej gipsu i sproszkowanego marmuru): tłustych amorków, girland, gzymsów, ram i rameczek, wśród których polyskiwały zwierciadła.

W pogoni za przepychem, za wspaniałością zatracił się nieraz umiar, co raziło wielu artystów. Toteż nowy styl nie wszędzie znalazł zwolenników. Nie wiele zabytków z tego czasu znajdziemy w Anglii, a także we Francji (poza Wersalem). Natomiast nowy styl rozprzestrzenił się w krajach Europy środkowej, w Rosji, a na południu — w Hiszpanii.



U góry: Katedra w Syrakuzach na Sycylii.
Od lewej: G. L. Bernini „Dawid”.



U góry: G. L. Bernini „Porwanie Prozerpiny”.
Od lewej: G. L. Bernini „Głowa Dawida” (fragment posągu).